Voir les résumés français à la fin du numéro.

ROCZNIK PSYCHIATRYCZNY

Organ Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego

Założony
przez
PROF. DR. RAFAŁA RADZIWIŁŁOWICZA

ZESZYT XXXII



1938.

Adres Redakcji: Warszawa, ul. Matejki 6 m. 1.
Adres Administracji: Klinika Psychiatryczna Uniwersytetu J. P.
ul. Konwiktorska 7. Konto czekowe P. K. O. 6313.

Cena niniejszego zeszytu 8 złotych.

Zeszyt niniejszy ukazał się dnia 20 marca 1938 r.

Voir les résumés français à la fin du numéro.

ROCZNIK PSYCHIATRYCZNY

Organ Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego

Założony

przez

PROF. DR. RAFAŁA RADZIWIŁŁOWICZA

ZESZYT XXXII

49

1938.

Adres Redakcji: Warszawa, ul. Matejki 6 m. 1.
Adres Administracji: Klinika Psychiatryczna Uniwersytetu J. P.
ul. Konwiktorska 7. Konto czekowe P. K. O. 6313.

Cena niniejszego zeszytu 8 złotych.

Zeszyt niniejszy ukazał się dnia 20 marca 1938 r.



Prof. Stefan Borowiecki

PROF. STEFAN BOROWIECKI
ŻYCIE I CZŁOWIEK

podał
W. ŁUNIEWSKI

Profesor Stefan *Borowiecki* urodził się d. 20 sierpnia 1881 roku w Warszawie. Tutaj pobierał On nauki średnie w V gimnazjum filologicznym, które ukończył w 1900 roku.

Studia medyczne odbywał na wydziale lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego. Ukończył je w roku 1905, nie złożył jednak tego roku egzaminów dyplomowych z powodu strajku szkolnego i zamknięcia Uniwersytetu.

Bezpośrednio po ukończeniu studiów, aby nie tracić czasu *Borowiecki* wstępuje na oddział chorób wewntętrznych *Dra Kazimierza Chełchowskiego* w szpitalu Dzieciątka Jezus. Ciągnęła Go tam nie tylko chęć nauczenia się interny, ale także ideologia medycyny społecznej, reprezentowana przez *Dra Chełchowskiego.*

Po kilkumiesięcznej pracy na tym oddziale *Borowiecki* przenosi się do szpitala dla psychicznie chorych w Kochanówce pod Łodzią, aby tu poświęcić się całkowicie i wyłącznie psychiatrii, która była przedmiotem Jego specjalnych zainteresowań jeszcze w czasie studiów uniwersyteckich. Do Kochanówki pociągała Go osoba ówczesnego dyrektora tego szpitala — autora studium o *Towiańskim,* które otwierało przed nami — adeptami psychiatrii i absolwentami rosyjskiego Uniwersytetu nowe horyzonty dla pracy na gruncie polskim. Nie znaliśmy jeszcze wówczas *Doktora Mazurkiewicza,* ani innych Jego prac naukowych. Studium o Towiańskim i głuche wieści, jakie dochodziły do naszych studenckich uszu o pionierskich poczynaniach autora tego studium na polu szpitalnictwa psychiatrycznego zdecydowały o tym, że obaj ze ś.p. *Borowieckim* wybraliśmy się do Kocha-

nówki, aby tam właśnie szukać dla siebie pracy. Kochanówka miała w tym czasie tylko jeden wolny etat asystencki. Oszołomieni wrażeniem, że znajdujemy tam to, czegośmy szukali dla siebie, uparliśmy się, że zostajemy obaj. Miał z nami kłopot dyrektor Szpitala, ale uległ naszemu naciskowi i przyjął nas obu.

Borowiecki pozostawał w Kochanówce przez dwa lata do 22 kwietnia 1907 roku. W ciągu tego czasu, ale dopiero w końcu 1906 roku wyjeżdża On na kilka tygodni do Kazania, aby tam złożyć egzamin państwowy, którego nie mógł składać w Warszawie.

W Kochanówce *Borowiecki* zapoznaje się z psychiatrią szpitalną, uczy się badać chorych, stawiać rozpoznania, wciąga się w literaturę naukową i przeżywa emocje przygotowania do druku pierwszej w Jego życiu pracy naukowej, ogłoszonej w zeszycie jubileuszowym Łódzkiego Czasopisma Lekarskiego ku uczczeniu 25-o letniej działalności naukowej *Dra Władysława Biegańskiego*, wydanym w 1905 roku.

Z Kochanówki *Borowiecki* udaje się do Krakowa, aby przy pomocy prof. *Piltza* uzyskać możność wyjazdu do Szwajcarii. W czasie krótkiego pobytu w Krakowie uczęszcza On do ambulatorium chorób nerwowych, mieszczącego się wówczas w suterenach kliniki okulistycznej przy ul. Kopernika, nawiązuje bliższą znajomość z prof. *Piltzem* i jego starszym asystentem *Drem Rydlem*. Wkrótce, bo już 1 maja 1907 roku udaje Mu się otrzymać stanowisko asystenta Zakładu psychiatrycznego kantonu Zuryskiego w Rheinau, gdzie przez rok pracuje pod kierunkiem wytrawnego anatomopatologa układu nerwowego i dyrektora tego zakładu *Dra Risa*.

W dniu 1 maja 1908 roku *Borowiecki* udaje się bezpośrednio z Rheinau do Zurichu, aby tam podjąć pracę badawczą z dziedziny anatomii układu nerwowego pod kierunkiem wielkiej miary uczonego — profesora *Monakowa*. Praca w laboratorium *Monakowa* zatrzymuje Go w Zurichu przez dwa lata. W ciągu tego okresu czasu zapoznaje się *Borowiecki* z koryfeuszami ówczesnej psychiatrii zuryskiej: prof. *Bleulerem*, docentem *Jungiem i* całym szeregiem ich uczniów, nie wciąga się jednak jeszcze w tym czasie w psychoanalizę, ponieważ chce wykończyć wielką pracę eksperymentalną nad istotą szarą w moście *Varola*, która pochłania Mu mnóstwo czasu.

Po ukończeniu pracy u prof. *Monakowa Borowiecki* udaje się dla uzupełnienia swych studiów w dziedzinie neurologii i psychiatrii do Paryża, gdzie uczęszcza na oddziały szpitalne *Dejerina, Babińskiego* i innych. W Paryżu pozostaje On do końca czerwca 1910 roku.

Po krótkim wypoczynku w kraju *Borowiecki* obejmuje stanowisko asystenta kliniki chorób nerwowych i umysłowych Uniwersytetu Jagiellońskiego, na którym pozostaje od 21 października 1910 do 4 marca 1919 roku. W 1913 roku otrzymuje On półroczny urlop naukowy, który spędza w Berlinie. W 1917 roku *Borowiecki* zostaje habilitowany jako docent neurologii i psychiatrii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W marcu 1919 roku docent *Borowiecki* przestaje pracować w Klinice i obejmuje samodzielne stanowisko prymariusza oddziału chorób nerwowych i umysłowych w szpitalu św. Łazarza w Krakowie, na którym pozostaje do chwili powołania Go na katedrę neurologii i psychiatrii w Uniwersytecie Poznańskim. Obowiązki te objął jako profesor nadzwyczajny z dniem 1 grudnia 1921 roku, od 15 lipca 1923 r. zostaje profesorem zwyczajnym.

W Poznaniu prof. *Borowiecki* nie zastał gotowego warsztatu pracy: Uniwersytet Poznański, pozostający wówczas jeszcze w początkowym stadium organizacji nie posiadał jeszcze kliniki neurologiczno-psychiatrycznej. Początkowo prowadzi prof. *Borowiecki* poliklinikę dla nerwowo chorych i korzysta z materiału oddziału psychiatrycznego szpitala miejskiego przy ul. Grobli, zabiera się jednak równocześnie do stworzenia kliniki w udzielonym Mu gmachu byłych koszar przy ul. Północnej, którą uruchamia prowizorycznie we wrześniu 1925 roku.

Wszystko, co posiada dziś katedra neurologii i psychiatrii Uniwersytetu Poznańskiego — a więc gmach kliniczny, przy ul. Północnej, z pomieszczeniem dla 54 chorych, z pięknym ogrodem kwiatowym, z pracowniami: biochemiczną, psychologiczną i histopatologiczną, z bogatą biblioteką naukową, ze wszystkimi urządzeniami leczniczymi; zorganizowany zespół współpracowników i gotowy już plan nowej kliniki neurologiczno-psychiatrycznej na 100 łóżek jest owocem starań, pomysłów i mozolnego doglądu ze strony profesora *Borowieckiego,* jako pierwszego dyrektora Kliniki. Prof. *Borowiecki nie* dawał się zmóc ani przeciwnościom, których los Mu nie poskąpił, ani wyczerpaniu. Pracuje On z zapałem nieustannie, mimo ostrzeżeń ze strony lekarzy, którzy nakazywali Mu wypoczynek. Umiera nagle dnia 8 września 1937 roku.

W roku akademickim 1929/30 prof. *Borowiecki* był dziekanem Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego. W sześcioleciu 1929 — 1935 piastował On godność prezesa Wydziału Lekarskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. W latach 1927 — 1931 był wiceprezesem Sądu Izby Lekarskiej Poznańsko-Pomorskiej. Od

1933 roku aż do dnia śmierci był prezesem Poznańskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. W roku bieżącym zostaje On prezesem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Neurologicznego.

Na kanwie tego pracowitego i nagle urwanego żywota zarysował się człowiek z jego właściwościami umysłowymi, uczuciowymi i charakterologicznymi.

Fizycznie, zwłaszcza w młodszym wieku, zbliżony raczej do typu lepto- niż eurysomicznego, wykazywał pod względem konstytucji psychicznej więcej cech schizoidalnych niż syntonicznych. Raczej zamknięty w sobie niż otwarty, zawsze skupiony, małomówny, nie wylewny, zachowujący rezerwę w stosunku do otoczenia, a zarazem bardzo subtelny i wrażliwy, lecz bardzo opanowany w reakcjach, odcinał się w zespole kolegów uniwersyteckich wyraźnym obliczem wybitnej indywidualności.

Pierwiastki asyntoniczne Jego konstytucji psychicznej nie przeszkadzały Mu do zachowania w stosunku do ludzi, z którymi się stykał, pozycji wolnej od uprzedzeń i pełnej zaufania. Aby to zasadnicze podejście do człowieka zmienić w stosunku do osób, które na to zaufanie nie zasługiwały, potrzebował bardzo mocnych, dosadnych i jaskrawych argumentów. Nieraz podziwialiśmy jego wyrozumiały stosunek do ludzi, potępianych przez wielu innych, niemal przez wszystkich. Przede wszystkim szukał w człowieku wartości dodatnich i decydował się na ogólny osąd ujemny dopiero pod naciskiem faktów i dowodów. To było może przyczyną wielu zawodów i rozczarowań, których nie poskąpiło mu życie, ale zarazem predestynowało Go do roli pedagoga, dla której był stworzony.

Harmonizująca z Jego ogólną konstytucją psychiczną dociekliwość w głąb zagadnień, nie zamykała Mu drogi do rozszerzania zakresu Jego zainteresowań, w czym dystansował setki więcej od Niego syntonicznych rówieśników. W czasach uniwersyteckich interesował się poza medycyną i naukami przyrodniczymi, wszystkim i mógłby powiedzieć o sobie bez przesady: homo sum et nil humani a me alienum esse puto. Interesował się filozofią i etyką, psychologią i estetyką, obchodziły Go zagadnienia społeczne, pociągała Go silnie ku sobie muzyka, wabiły Go sztuki plastyczne, nęcił Go teatr i poezja.

Jako młody medyk bierze udział w akcji, mającej na celu zwalczanie prostytucji. Podchodzi do tego zagadnienia z dwóch stron: ze strony etyki i ze strony higieny.

W konspiracyjnym podówczas kółku samokształcenia medyków, które postawiło sobie za zadanie pogłębienie naukowych podstaw przygotowania do zawodu lekarskiego i rozszerzenie horyzontów przyszłych lekarzy przez obudzenie zainteresowań dla zagadnień społecznych, *Borowiecki* wszczynał dyskusje na tematy z dziedziny estetyki, które w gronie ówczesnych pozytywistów i socjalistów trąciły herezją. Pamiętam, jak kiedyś poruszył sprawę znaczenia sztuki, jak bronił stanowiska adeptów sztuki czystej, sztuki dla sztuki, operując argumentami „Chimery", w której rozczytywał się namiętnie.

Zainteresowania dla sztuki obudziły w Nim żyłkę zbieracza: kolekcjonował obrazy, drzeworyty, litografie. Zainteresowania dla tej sprawy zachował do ostatnich czasów. Przed kilku laty mieliśmy możność podziwiania pięknej teki, zawierającej ilustracje Poznania, Pomorza, Wielkopolski i Śląska, ofiarowanej uczestnikom XIV Zjazdu Lekarzy i Przyrodników. Wydanie tej teki i wybór odpowiednich ilustracji były dziełem Jego inicjatywy.

Wiele czasu poświęcał muzyce: uczęszczał na koncerty i sam grywał na fortepianie. Nie miał większej wprawy, ale grał z dużym wyczuciem nastrojów i był czas, że według opinii najbliższych, wypowiadał się w muzyce łatwiej niż w słowach.

Ogromnie lubił teatr, poświęcał mu wolne wieczory i bodaj, że nie było poważniejszej sztuki teatralnej na scenach polskich, którą by opuścił. Zachował te zainteresowania aż do ostatnich czasów.

Zagadnienia czysto społeczne mniej interesowały Go w młodszych latach, nie były Mu jednak obojętne. Jako student wygłaszał odczyty popularno-naukowe w tajnych kółkach nauczania. Do pracy tej podchodził nie szablonowo, jak to robiło wielu innych, którym chodziło o osiągnięcie możliwie najpokaźniejszych wyników ilościowych. Ustosunkowując się krytycznie do panującego wówczas w nauczaniu werbalizmu, traktował swoje odczyty jako próbę zastosowania w nauczaniu dorosłych metody pokazowo-eksperymentalnej.

Z biegiem czasu, kiedy został lekarzem, społeczna strona medycyny zaczęła Go interesować coraz żywiej. Zwłaszcza od czasu, kiedy wypadło Mu coraz częściej stykać się z problemami orzecznictwa lekarskiego. Zainteresowaniom tym dał wyraz w obszernej i oryginalnie ujętej monografii noszącej tytuł: „Stosunek jednostki do otoczenia w nerwicach", ogłoszonej w 1932 roku. W ostatnich latach przejawiał też rosnące zainteresowania dla zagadnień psychiatrii sądowej, z którą miał coraz więcej do czynienia na gruncie poznańskim. Jeszcze przed samą śmiercią mówił do siostry swej, Pani Marii *Borowiec-*

kiej, że z tego odcinka pracy nie chciał by się wycofywać, gdyż poznał jego znaczenie społeczne.

W związku z zainteresowaniami społecznymi *Borowieckiego*, stoją w dużej mierze Jego zainteresowania dla sprawy dziedziczności w psychiatrii. Marzył On o powołaniu do życia Polskiego Instytutu Badań Dziedziczności i na kilka dni przed śmiercią omawiał ze mną szczegóły, dotyczące organizacji tych badań, którymi zamierzał zająć się w najbliższej przyszłości. Przygotowywał się do tej pracy od dłuższego czasu. Jeszcze w 1921 roku ogłosił On wyniki swoich „Badań genealogicznych, 3-ch rodzin, ciężko obarczonych usposobieniem do chorób umysłowych". W 1927 roku przedstawił w Roczniku Psychiatrycznym „Stan obecny nauki o dziedziczności w psychiatrii", a w roku 1931 sprawę wpływu alkoholu na potomstwo. Do sprawy dziedziczności powraca On w 1936 roku, ogłaszając w „Higienie Psychicznej" pracę pt. „Dziedziczność w chorobach umysłowych i jej zwalczanie" i w roku bieżącym na zjeździe we Lwowie, wygłaszając odczyt pt. „Stan i potrzeby nauki o dziedziczności w psychiatrii polskiej". Pod kątem widzenia nauki o dziedziczności były też opracowywane prace Jego własne i Jego uczniów.

Zdradziecka śmierć zaskoczyła Go w chwili, kiedy po wypoczynku letnim z nowym przypływem zapału zabierał się do wykończenia pracy o twórczości Prusa, do której starannie i skrzętnie zbierał materiały w ciągu kilku lat, odwiedzając osobiście rozsianych po całej Polsce krewnych i znajomych wielkiego pisarza.

Wszyscy, którzy znali osobiście prof. *Borowieckiego*, musieli cenić jego głęboki umysł, musieli podziwiać wszechstronność jego zainteresowań, jego dużą kulturę ogólną i artystyczną i wytrwałość, z jaką dążył zawsze do realizowania swych zamierzeń. Cechy te zjednywały Mu powszechne uznanie i szacunek. Jego wyrozumiałość i życzliwość dla ludzi, z którymi się stykał, prostolinijność postępowania i pogoda ducha, jaką w sobie nosił, niezmącona przeciwnościami losu, zjednywały mu sympatię.

Inne usta wygłoszą tu za chwilę ocenę działalności ś.p. profesora *Borowieckiego* na terenie Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego i ocenę Jego działalności naukowej na polu neurologii i psychiatrii.

Mnie, jako koledze uniwersyteckiemu prof. *Borowieckiego*, który dzielił z Nim radości i smutki młodości, a mając zaszczyt mienić się Jego przyjacielem, miał możność bliższego poznania Go, w doli i niedoli jako człowieka, wypada ograniczyć się do stwierdzenia, że uznanie, szacunek i sympatia, jakie pozyskał wśród ludzi, zostały

zdobyte przez Niego rzetelnymi wartościami jego prawego charakteru, jego szczerym umiłowaniem prawdy, dobra i piękna, którym służył uczciwie i wiernie, od najmłodszych lat aż do śmierci.

Śmierć profesora *Stefana Borowieckiego* zabiera z liczebnie skromnych szeregów psychiatrów polskich jedną z kadrowych postaci, zabiera przedwcześnie pracowicie nagromadzony kapitał dużej wiedzy fachowej, dużego doświadczenia lekarskiego i pedagogicznego — zabiera nam człowieka o wielkich walorach intelektualnych i moralnych.

Nie zabiera Go nam przecież całego: poza trwałym dorobkiem, który imię profesora *Borowieckiego* wyżłobił już na karcie dziejów nauki, pozostawia On nam po sobie spory zastęp uczniów, wychowanych w Jego szkole, w których żyć będzie cząstka Jego Ducha — pozostawia dwie rodzone córki, które zachowają pamięć uczuć kochającego ojca i Jego kryształowej duszy ludzkiej.

DZIAŁALNOŚĆ STEFANA BOROWIECKIEGO W POLSKIM TOWARZYSTWIE PSYCHIATRYCZNYM

podał

JÓZEF HANDELSMAN

Stefan *Borowiecki*, urodz. 1881, zmarły 8.9.37, należy do Polskiego Tow. Psychiatrycznego od chwili jego założenia, tj. od dnia 1 listopada 1920 r.; w 1926 r. przystępuje do Komitetu wydawniczego Rocznika Psychiatrycznego; w 1932 r. zostaje wybrany do Zarządu Głównego, w 1935 zostaje wybrany ponownie do Zarządu na następne 3-lecie; w 1934 r. zostaje członkiem Komitetu redakcyjnego „Rocznika Psychiatrycznego". W r. 1933 jest przewodniczącym Komitetu organizacyjnego 13 Zjazdu Psychiatrów Polskich w Poznaniu. W 1933 r. zostaje przewodniczącym oddziału poznańskiego Polskiego Tow. Psychiatrycznego.

Takie jest krótkie zestawienie dat i tytułów dotyczących działalności *Borowieckiego* w naszym Towarzystwie, suche zestawienie na podstawie danych ze sprawozdań Towarzystwa, nie ujawniające zupełnie jakie zasługi położył zmarły nasz kolega dla Towarzystwa. Dopiero szczegółowsza obiektywna analiza Jego działalności uwypuklić może fakt, jaką stratę poniosło Towarzystwo przez przedwczesną śmierć *Borowieckiego*.

Borowiecki brał żywy udział niemal we wszystkich naszych zjazdach psychiatrycznych, wygłaszając na nich przemówienia programowe, biorąc żywy udział w dyskusji, oraz będąc wybierany bardzo często do prezydium zjazdowego, prowadził rozprawy w czasie posiedzeń.

Zagadnienie, którym zajmuje się *Borowiecki* na terenie naszego Towarzystwa, i o którym mówi na kilku zjazdach, stopniowo je roz-

szerzając i pogłębiając, jest to sprawa dziedziczności w chorobach psychicznych.

Już na VI Zjeździe w 1926 r. *Borowiecki* wygłasza odczyt pt. *Aktualne zagadnienia psychiatryczne związane z dziedzicznością*. Odczyt ten ogłasza później *Borowiecki* w Roczniku Psychiatrycznym (z. VI) pt. *Stan obecny nauki o dziedziczności w psychiatrii*. W odczycie *Borowiecki* stwierdza, że „postawienie zagadnienia dziedziczności na właściwym mu gruncie biologicznym, otwiera szerokie pole do badań kliniczno-genealogicznych, wśród których wyłania się jako zagadnienie najtrudniejsze" i to najtrudniejsze w psychiatrii zagadnienie referuje na VII Zjeździe w odczycie pt. *Badanie dziedziczności w psychozie maniakalno-depresyjnej*, na X Zjeździe w odczycie pt. *Dziedziczność u alkoholików*, (drukowanym w XVI zeszycie Rocznika Psychiatrycznego pt. *Alkohol i dziedziczenie)* i wreszcie na XVI Zjeździe w odczycie pt. *Stan i potrzeby badań nad dziedzicznością w psychiatrii polskiej*. W odczycie swoim dochodzi *Borowiecki* do wniosku, że „badania dziedziczności w psychiatrii prowadzone są u nas w sposób fragmentaryczny i mają charakter raczej kazuistyczny. Badania te nie obejmują całokształtu zagadnień teoretycznych i praktycznych, których rozwiązania wymaga od nich może potrzeba społeczeństwa i prawa". Dalej *Borowiecki* uważa, że jednym z najważniejszych w tej sprawie kroków byłoby powołanie do życia Instytutu dla Badań Dziedziczności u człowieka, i że badania dziedziczności w chorobach umysłowych winny w instytucie takim zająć miejsce najpocześniejsze.

Praca ta była drukowana w 29/30 zeszycie Rocznika Psychiatrycznego, ostatnim zeszycie, który ukazał się jeszcze za życia autora, na parę miesięcy przed Jego śmiercią. *Borowiecki* zajął się w łonie Zarządu Głównego Towarzystwa naszego organizacją takiego instytutu; wykonał prace przygotowawcze, opracował odpowiedni memoriał, przeprowadzał dyskusję na zebraniach Zarządu oraz starał się u władz, żeby instytut stworzyć. Instytut taki miał już wkrótce powstać i właśnie pod kierunkiem *Borowieckiego*. Niestety przedwczesna śmierć *Borowieckiego* przerwała tok pracy organizacyjnej, której wielki szmat był już dokonany.

Drugim, ważnym bardzo zagadnieniem, które *Borowiecki* podnosi na naszych Zjazdach psychiatrycznych, jest sprawa nerwic. Na XI Zjeździe w 1931 r. wygłosił odczyt pt. *Nerwice jako choroba społeczna*, a na XIV Zjeździe w 1934 r. wypowiada referat pt. *Klasyfikacja zaburzeń psychicznych reaktywnych i ich stosunek do tzw. nerwic*. Oba te odczyty były wydrukowane w Roczniku Psychiatrycznym; w „Roczniku" również była drukowana praca pt. *Sen a całokształt*

życia psychicznego (zeszyt XXI), dotycząca tego samego zagadnienia, jak również odczyt wygłoszony wspólnie z prof. *Błachowskim* na VII Zjeździe pt. *Epidemia psychiczna w Słupi*, (wydrukowany w VII zeszycie „Rocznika"). W tej ostatniej pracy autorzy podnoszą, że analiza opisanych przez nich wydarzeń „dostarczyła szeregu spostrzeżeń bardzo cennych dla rozumienia patogenezy histerii, której zazwyczaj nie jesteśmy w stanie sobie odtworzyć". I w tejże pracy zwracają autorzy uwagę na zagadnienie, które *Borowiecki* rozpatruje bardziej szczegółowo w pracach następnych, mianowicie na to, że „opisane fakty wzajemnych oddziaływań wyprowadzają lekarza poza jego zwykły stosunek do chorego, skierowują uwagę ku trudno uchwytnym czynnikom społecznym".

Zagadnienie to zreferowane na XI Zjeździe pt. *Nerwice jako choroba społeczna*, wydrukowane zostaje pt. *Stosunek jednostki do otoczenia w nerwicach* (w XVIII/XIX zeszycie Rocznika); w pracy tej *Borowiecki* na wstępie mówi: „można rozpatrywać nerwice z różnych stanowisk, jeśli się jednak zechce dać przybliżone pojęcie o tym, czym jest nerwica, to sądzę, że wśród szeregu cech pozytywnych, przy pomocy których potrafimy ją dzisiaj scharakteryzować, zajmuje bardzo poważne miejsce jej stosunek do otoczenia, do rodziny i do społeczeństwa" i wobec tego zaburzenia tego stosunku jednostki do otoczenia można nazwać chorobą społeczną. Przy doszukiwaniu się przyczyn, „odczynu psychopatycznego, jaki przedstawia każda nerwica, natrafiamy przede wszystkim na zagadnienie udziału w jej powstawaniu usposobienia i dziedziczenia, a więc czynników endogenicznych i roli otoczenia — czynników egzogenicznych". Ale i w czynnikach endogenicznych stwierdza *Borowiecki* jedynie skłonność przenoszenia z przodków na potomstwo gotowość do tych czy innych rodzajów reakcji. W dalszych rozważaniach *Borowiecki* przychodzi do wniosku, że „nerwica jest rodzajem zaburzenia stosunku jednostki do społeczeństwa, nieudanym rozwiązaniem zagadnienia tego stosunku", i to zarówno w nerwicach urazowych, jak w histerii czy natręctwach myślowych. I tu widzi *Borowiecki* „uspołecznienie... jako najważniejszy cel leczniczy".

Pewną syntezę swoich zapatrywań w sprawie nerwic daje *Borowiecki* w odczycie na XIV Zjeździe w r. 1934, wydrukowanym w XXIII zeszycie „Rocznika" pt. *Klasyfikacja zaburzeń psychicznych reaktywnych i ich stosunek do tzw. nerwic*, starając się stworzyć klasyfikację strukturalną, opartą na analizie budowy stanów badanych, a nie według czynników wyzwalających te stany, np. nie uważa *Borowiecki* za właściwy termin „nerwica urazowa", lecz uważa za wskazane wy-

kazanie w danym zespole pourazowym udziału składników zaburzenia reaktywnego aktualnego.

Odczyt „*Patologia charakteru*", wygłoszony na XII Zjeździe w r. 1932, a ogłoszony w XX zeszycie „Rocznika" jest jak gdyby ogniwem łączącym oba te zagadnienia. *Borowiecki* bowiem stoi zasadniczo na stanowisku „że charakter, mimo całe podłoże konstytucyjno-dziedziczne, w znacznym bardzo stopniu kształtuje się w zależności od otoczenia i wydarzeń zewnętrznych". Na ostatnim wreszcie, XVII Zjeździe 5/VII.1937 r. na dwa miesiące przed śmiercią, gdy *Borowiecki* odczuwał już objawy cierpienia, które spowodowało Jego śmierć, wygłosił ostatni w życiu referat pt. *Badania nad rodzinami oligofreników*.

Praca ta wykonana i przedstawiona wspólnie z Jego współpracownikami *Dr Łęcką-Dowżenko i Drem Dowżenko*, dotyczyła badań nad dziedziczeniem i zzewnątrzpochodną etiologią niedorozwoju umysłowego, była wynikiem bardzo ciekawych i żmudnych badań, zwłaszcza nad bliźniętami.

Taki jest dorobek pracy naukowej *Borowieckiego* na terenie i w ramach Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego: planowe, systematyczne badania, rozważania, analiza, porównywanie wyników własnej pracy z pracami innych badaczy — we wszystkich tych odczytach i pracach przewija się stale jeden cel, jedno dążenie, dążenie, by w Polsce badania dziedziczności w chorobach umysłowych stały na odpowiednim poziomie.

Oprócz odczytów z tych dwu serii (w sprawie dziedziczenia chorób psychicznych oraz w sprawie nerwic) na terenie naszego Towarzystwa znajdujemy jeszcze dwie prace *Borowieckiego:* praca wygłoszona na IV Zjeździe Psychiatrów, a ogłoszona w 2-im zeszycie Rocznika w 1925 r. pt. *Uwagi w sprawie kierunku psychologicznego w psychiatrii współczesnej*, oraz praca wygłoszona na uroczystym zebraniu z okazji XV-lecia naszego Towarzystwa w 1935 r., ogłoszona w XXV zeszycie Rocznika pt. *W sprawie programu psychiatrii polskiej*. Dwie te prace, napisane w odstępie 10-letnim, stanowią jak gdyby próbę naukowego programu psychiatrii polskiej. W 1925 r. powiada *Borowiecki:* „przy dzisiejszym stanie naszej nauki nie pozostaje nam nic innego, jak iść, stosownie do swego uzdolnienia i zamiłowania w badaniach naukowych, drogą badania cielesnego lub psychicznego umysłowo chorych, nie czas natomiast rozważać kwestię wyższości jednej metody nad drugą... Nie pomijając zatem badania cielesnego i zawsze pierwszorzędne stanowisko przypisując zdobyczom somatycznym,

możemy powiedzieć, że musimy dzisiaj uprawiać *psychografię* w jak najszerszym znaczeniu..."

Przez 10 lat, które ubiegły od napisania tej pracy, nastąpił znaczny rozwój pracy klinicznej i laboratoryjnej psychiatrycznej w Polsce. Szereg znanych badaczy przystąpił do pracy naukowej i w r. 1935 mógł *Borowiecki* na podstawie ankiety, przeprowadzonej wśród psychiatrów polskich, streścić wytyczne programu psychiatrii polskiej na okres następny. Stwierdza on, że wszystkie zagadnienia psychiatryczne zarówno natury teoretycznej jak i praktycznej, powinny być uprawiane w klinikach i zakładach psychiatrycznych, które powinny współpracować celem podniesienia poziomu pracy naukowej i celem należytego naukowego pokierowania zagadnień kliniczno-monograficznych, genealogicznych i eugenicznych. „Psychiatria polska, jak psychiatria każdego narodu musi obejmować całokształt zagadnień teoretycznych i praktycznych, których rozwiązania spodziewa się po niej życie bieżące".

Jak widzimy z tego krótkiego zestawienia, praca naukowa *Borowieckiego* w Polskim Towarzystwie Psychiatrycznym była bardzo owocna: od powstania Towarzystwa bierze On udział niemal we wszystkich Zjazdach, drukuje szereg prac w organie Towarzystwa; nie na tym jednak kończy się udział *Borowieckiego* w pracach Towarzystwa. Oprócz pracy naukowej żywy jest Jego udział w pracy organizacyjnej Towarzystwa. Gdy w 1924 r. byt „Rocznika Psychiatrycznego", jedynego wówczas polskiego czasopisma, poświęconego psychiatrii, został zagrożony, ze względu na trudności finansowe Towarzystwa, na odezwę Towarzystwa do członków, by ratowali swoje pismo, *Borowiecki* był jednym z pierwszych, który zgłosił swój udział do Komitetu wydawniczego, udział poparty materialnie i od tego czasu stale popierał nasze pismo.

W 1934 r. zostaje wybrany do Komitetu redakcyjnego Rocznika.

Borowiecki organizuje XIII Zjazd Psychiatrów Polskich w Poznaniu w ramach Zjazdu Lekarzy i Przyrodników, jako sekcję psychiatryczną tego zjazdu. Organizacja tego zjazdu była dla niego o tyle trudniejszą od innych Zjazdów, że równocześnie z sekcją psychiatryczną, organizował *Borowiecki* sekcję neurologiczną. W zjeździe tym dzięki *Borowieckiemu,* jako przewodniczącemu Komitetu organizacyjnego, wzięli udział liczni neurolodzy i psychiatrzy krajów słowiańskich (Czesi, Słowacy, Serbowie, Rosjanie). Wielką zasługą *Borowieckiego* dla Towarzystwa było wznowienie prac oddziału poznańskiego Polskiego Tow. Psychiatrycznego. Oddział poznański, po zor-

ganizowaniu w 1921 r. zjazdu w Poznaniu, wegetował parę lat, później przez szereg lat przestał w ogóle funkcjonować; dopiero w 1933 roku dzięki taktowi *Borowieckiego* prace tego oddziału zostają wznowione; na czele oddziału staje *Borowiecki*, ściąga do oddziału neurologów i psychiatrów poznańskich i z zakładów psychiatrycznych okolicznych; odbywają się względnie regularnie posiedzenia, na których zostają przedstawiane ciekawe przypadki i wygłaszane liczne odczyty naukowe.

Na zakończenie wreszcie muszę powiedzieć o bardzo owocnym udziale *Borowieckiego* w pracach Zarządu Głównego od 1932 r. Ze zwykłym spokojem i umiarem, z równowagą duchową, z dużym doświadczeniem pracuje *Borowiecki* w zarządzie, nie opuszczając prawie żadnego zebrania; opracowuje odpowiednie materiały na posiedzenia zarządu, wykonywa wszystkie prace organizacyjne przez zarząd na niego nakładane. Brak *Borowieckiego* w Zarządzie Głównym odbije się dotkliwie na pracy organizacyjnej zarządu.

W sprawozdaniu tym najzupełniej obiektywnie i rzeczowo przedstawiłem udział Stefana *Borowieckiego* w pracach Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego; w sprawozdaniu tym nie dodałem ani jednego niepotrzebnego słowa, żadnej frazeologii.

Na zakończenie jednak muszę wypowiedzieć swoje własne uczucia. Z *Borowieckim* łączyły mnie węzły przyjaźni od lat 45; od pierwszej klasy gimnazjalnej, poprzez wszystkie lata szkolne i uniwersyteckie, a później w życiu zawodowym, naukowym i społecznym, byłem z nim w stałym kontakcie osobistym bądź listownym i zawsze podziwiałem Jego spokój, nie poddawanie się nakazom nastrojów chwili. *Borowiecki* nie był błyskotliwym, zawsze głęboko myślący, dobrze przetrawił swoje myśli zanim je wypowiedział; nie uogólniał swoich rozważań, nie było w Jego przemówieniach i opisach żadnej teatralności ani fantazji. Wszystko, co *Borowiecki* stworzył, opisał, opublikował, miało mocne fundamenty.

Takie mocne fundamenty cechowały także działalność *Borowieckiego* w Polskim Tow. Psychiatrycznym. Żegnając *Borowieckiego*, wyrażając żal serdeczny, mam jednak nadzieję, że praca *Borowieckiego* w Towarzystwie naszym nie pójdzie na marne i że przyszli pracownicy w naszym Towarzystwie będą rozwijali Jego idee i ideały naukowe i społeczno psychiatryczne.

TWÓRCZOŚĆ NEUROLOGICZNA PROFESORA STEFANA BOROWIECKIEGO.

podał

K. ORZECHOWSKI

Mierzona ilością prac twórczość ta jest skromna, obejmuje 10 prac polskich, z tych kilka także w wydaniu niemieckim. Waga tych prac jest rozmaita, niektóre stanowią tylko interesujące przyczynki kazuistyczne, jest jednak kilka zgoła niepoślednich, z różnych dziedzin neurologii, ogłoszonych w latach 1911 do 1923, które już wtedy wysuwały *Borowieckiego* na poczesne miejsce wśród naszych neurologów. Był też to okres życia *Borowieckiego*, który zdawał się zapowiadać wielkie po nim nadzieje dla neurologii. Przyszło potem powołanie na katedrę poznańską, tworzenie kliniki, zdobywanie po kolei budynku dla kliniki neurologicznej, po tym oddziału psychiatrycznego i wśród tego po części w związku z zamiłowaniem, po części dla braku innego materiału, zwrot ku psychonerwicom. Od owego to okresu odbiegł *Borowiecki* od neurologii organicznej. Streszczę tutaj pokrótce, co w tej dziedzinie zdziałał.

W pracy pt. „*Kilka spostrzeżeń z przebiegu uszkodzeń postrzałowych nerwów obwodowych*", wydanej w r. 1915, *Borowiecki* zwraca uwagę na częstość powikłania postrzałów nerwów kulszowego i rzadziej pośrodkowego zespołem erytromelalgicznym. Przy postrzałach n. kulszowego stopy są różowsze i niekiedy cieplejsze, przy opuszczaniu nóg różowość się zwiększa, noga brzęknie, żyły nabrzmiewają, czerwoność przechodzi w sinicę i zwiększają się bóle. Przekrwienie stóp wywoływało nawet drobne wybroczyny. Stopa chora pociła się silniej. Grzbiet stopy i goleń były pokryte obficiej włosami, a ich kościec w obrazie rentgenologicznym wykazywał zanik. Napięcie bólów zwiększało się po spożyciu pokarmów lub napojów ciepłych i po na-

głych wrażeniach, np. upadek jakiegoś przedmiotu, przykra wiadomość itp. odzywały się natychmiast przemijającym chwilowym bólem. Zespół ten napewno odpowiadał kausalgii, chociaż palącego charakteru bólów B. nie notuje, jednak nawet dzisiaj, kiedy obrazy kauzalgij znamy wcale dokładnie, często nie jesteśmy w stanie obu obrazów odgraniczyć od siebie i ustalić, gdzie kauzalgia się kończy, a zaczyna erytromelalgia i naodwrót. W każdym razie *Borowiecki* bodaj był pierwszym, który w czasie wielkiej wojny zauważył szczególną urażliwość wegetatywną nerwów kulszowego i pośrodkowego.

Zajmując się niedowładem równostronnym w pracy z r. 1920 p.t. *„O niedowładzie nieskrzyżowanym (homolateralnym)"*, *Borowiecki* przytacza 4 własne przypadki, mianowicie 2 przypadki guzów nerwu słuchowego, jeden guza półkuli móżdżkowej i jeden guza płatu czołowego. Porażenie połowicze w przypadkach z guzami okolicy móżdżku tłumaczy jako głównie uwarunkowane hemiastenią móżdżkową, która wyjaśnia szereg cech odrębnych tego niedowładu połowiczego, jak wiotkość, upośledzenie siły równomierne całej kończyny, słabe natężenie, łączenie się z innymi objawami móżdżkowymi. Przy nieznaczności zaburzeń niektórzy mogą niedowład interpretować jako bezwład statyczny lub adiadochokinezę. Na podstawie wyników eksperymentalnych wielu badaczy, *Borowiecki* opowiada się stanowczo za istnieniem niedowładu móżdżkowego nieskrzyżowanego, nie wyłącza, że może on ujawniać się ze wzmożeniem odruchów i dodaje, że objaw *Babińskiego,* który czasem się zdarza, jest powikłaniem, wskazującym tylko na równoczesne dodatkowe uszkodzenie, którego pochodzenie wymaga jeszcze dalszych obserwacyj dla wyjaśnienia. Co do przypadku z guzem czołowym *Borowiecki* podkreśla trudności wytłumaczenia niedowładu równostronnego, radby jednak także wysunąć hipotezę niedowładu móżdżkowego w związku z niewyjaśnioną zresztą dotychczas rolą dróg czołowo-mostowych, które w wielu przypadkach guzów płata czołowego muszą ulegać uszkodzeniu. Ta ciekawa praca skutecznie podważa tłumaczenia, którymi dotąd posługiwano się w neurologii, przede wszystkim tłumaczenie niedowładów połowiczych nieskrzyżowanych w przypadkach guzów, leżących pod namiotem, uciskiem kostnym na piramidę strony przeciwległej guzowi. W rzeczywistości przy sekcji stwierdza się olbrzymie nieraz zniekształcenie mostu i rdzenia po stronie guza n. słuchowego, a strona przeciwległa żadnych objawów uciskowych nie wykazuje. Zasługą *Borowieckiego* jest także podkreślenie częstości niedowładów równostronnych o słabym natężeniu przy guzach móżdżkowych i n. słuchowego, a jego pogląd o niedowładzie móżdżkowym, wynikającym

z rozmaitych elementów zaburzenia móżdżkowego, między innymi z astenii, więc z rzeczywistego niedoboru siły, odpowiada zapatrywaniu przyjętemu przez wielu neurologów i fizjologów.

Niezwykle interesującą jest praca wspólna ze *Zdz. Reichem* pt. *„Analiza przypadku niezwykłych współruchów oczu, głowy, tułowia i kończyn po obustronnym napadzie udarowym"*, ogłoszona w r. 1923. Spostrzeżenie to dotyczyło chorego lat 52, syfilityka, który w r. 1914 przebył porażenie lewych kończyn, które przeszło do roku bez pozostałości. W 5 lat później, pewnego dnia obudził się z porażeniem prawych kończyn. Do miesiąca porażenie pr. kończyny górnej znacznie się poprawiło, o wiele mniej porażenie kończyny dolnej. Wkrótce potem pojawiły się objawy, będące przedmiotem analizy autorów. Chory zauważył, że głowa skręca się raz w lewo, raz w prawo. Przymusowym wydaje się choremu ruch głowy w lewo. Dla przezwyciężenia tego ruchu musi zwracać głowę w stronę prawą. Gdy siedzi i chce spojrzeć wprost przed siebie, nogi podnoszą mu się ku górze, a tułów przechyla w tył. Gdy idzie i próbuje spojrzeć wprost przed siebie, również pada w tył. Przy chodzie musi więc patrzeć w dół, gdyż tylko wtedy nie występują żadne zaburzenia. Badanie przedmiotowe, poza współruchami będącymi istotnym przedmiotem opracowania, stwierdziło niedowłady kończyn obustronne o cechach piramidowych i lekkie niedowłady rzekomoopuszkowe. Ruchy gałek ocznych możliwe we wszystkich kierunkach, jednak tylko łącznie ze współruchami właściwymi choremu. Z powodu nadzwyczajnego wygórowania odruchów szyjnych, labiryntowych i odruchów z kończyn na ciało, chory zachowywał się osobliwie przy chodzeniu. Przy każdym wysunięciu kończyny dolnej ku przodowi następował zwrot głowy w stronę wysuwanej nogi, a kończyna górna tej samej strony prostowała się, odwodziła i wysuwała ku przodowi, natomiast kończyna górna drugiej strony wykonywała zgięcie. Chory zatem przy każdym kroku naprzemian zmieniał ułożenie głowy i kończyn górnych i na tym głównie polegała osobliwość przypadku. Przy biernych i czynnych ruchach kończyn górnych w warunkach badania klinicznego przy rozmaitych ułożeniach głowy w przestrzeni i w stosunku do tułowia występowały w kończynach obu stron ciała żywe odruchy szyjne, przedsionkowe i współruchy wzajemne kończyn. Ruchy głową występowały jako odruchy z kończyn na szyję, dotąd przy ruchach czynnych u chorych nie spostrzegane. Wspólną cechą współruchów kończyn było to, że synergie w kończynach równoimiennych były takie same, więc w obu to równoczesne skrócenie, to wydłużenie, co autorzy uważają za pozostałość filogenetyczną starych ruchów zasadniczych wspinania się

na drzewo. Ruch gałek ocznych ku górze, wywołujący zespół współruchowy wszystkich kończyn, odpowiadałby ruchowi głowy orientującemu przy czynności wdrapywania się. Może najciekawszym zdarzeniem obrazu chorobowego było porażenie spojrzenia odosobnionego ku górze, ruch bowiem gałek zawsze się kojarzył z synergią głowy, tułowia i kończyn. Tego rodzaju wpływu ruchu gałek ocznych, ściślej mówiąc wpływu proprioceptywnych bodźców z mięśni ocznych, na ustawienie ciała i kończyn dotąd nie spostrzegano u człowieka, ani jego możliwości nie przypuszczano. Był znany natomiast ten wpływ ruchu oczu u ryb. Tak więc w przypadku tym obustronne napady udarowe przez wyłączenie układu neokinetycznego wyzwoliły mechanizmy paleokinetyczne, w postaci odruchów szyjnych, przedsionkowych i kończynowych, znanych z doświadczeń *Magnusa* i *Kleyna* na zwierzętach w stanie sztywności odmóżdżeniowej. Współruchy głowy, tułowia i kończyn przy spojrzeniu w górę nasuwają autorom ciekawe zestawienie z odczynem przedsionkowym podczas oczopląsu pionowego w dół.

W pracy pt. *„Urazy czaszki itd.“* z r. 1933 na podstawie 100 wszechstronnie opracowanych przypadków z kliniki neurologicznej U.P. *Borowiecki* rozpatruje sporne zagadnienia w tej dziedzinie, dochodząc do wniosków, pod które każdy nowoczesny neurolog musi się podpisać, że wstrząs mózgowy uwarunkowany jest bardzo często zmianami anatomopatologicznymi, i że dokładne badanie neurologiczne, poparte rentgenologicznym, otologicznym, a w szczególności badanie płynu m.-rdz., wykazują często zmiany przedmiotowe. Zmiany płynu stanowią w znacznej liczbie przypadków jedyny objaw organiczny. Bardzo słusznie podkreśla *Borowiecki* mało u naszych biegłych docenianą prawdę, że rozpoznanie nerwicy urazowej winno być stawiane tylko z wielką ostrożnością. Opowiada się za koniecznością klinicznego badania świeżych przypadków, przy czym, o ile tylko okoliczności chorobowe pozwalają, nie powinno się pomijać nakłucia lędźwiowego.

Piękna jest praca anatomiczna *Borowieckiego,* wykonana w neurologicznej klinice krakowskiej *„O tzw. arinencefalii i jej stanowisku wśród wad rozwojowych“* z r. 1917. W mózgu dziecka, które umarło w kilkanaście dni po urodzeniu, nie znaleziono ani opuszki węchowej, ani pasma węchowego. Płaty czołowe w częściach podstawowych nie były podzielone na półkule, również zrośnięte i nieparzyste były jądra kresomózgowia, ogoniaste, soczewkowate, a częściowo także w międzymózgowiu wzgórki wzrokowe. Blaszki granicznej (l a m i n a t e r m i n a l i s) nie było. Stąd nasuwał się

wniosek, że zasadniczemu zaburzeniu rozwojowemu uległa okolica blaszki granicznej, której nadmierny rozrost uniemożliwił podział na półkule części czołowej mózgu, oraz podział jąder kresomózgowia. Cała powierzchnia kory mózgowej okazywała w tym przypadku nieprawidłowy przebieg rowków i zakrętów, które rozpoznać było można tylko z pewnym prawdopodobieństwem. Kora mózgowa wydawała się w swej architektonice dość prawidłowa, natomiast wybitne zboczenie znaleziono w okolicy niepodzielonych półkul, mianowicie t.zw. stan brodawkowaty (s t a t u s c o r t i c i s v e r r u c o s u s d e f o r m i s), polegający na pofałdowaniu warstw kory, ukrytych pod powierzchnią, które ku tyłowi przechodziło stopniowo w warstwę uszczuplonej kory, pokrywającej w niebywałych rozmiarach wielkie spoidło mózgu. To wadliwe wybujanie kory mózgowej, upodabniające się do skrytej mikrogyrii, towarzyszyło budowie kory, zresztą na powierzchni ukształtowanej w szerokie, słabo rowkowane zakręty. Rozpatrując opisane dotychczas zaburzenia rozwojowe kresomózgowia, *Borowiecki* przeprowadza podział ich na 5 grup, z których najcięższe, najwcześniej w rozwoju założone, obejmują przypadki pojedyńczego kresomózgowia z wadliwym rozwojem nerwów wzrokowych i węchowych (a n o f t a l m i a, c y k l o p i a), po czym szereg wad kończy się postacią ze zmianami najmniej wyrażonymi, ograniczającymi się do rozlanych zaburzeń ukształtowania ściany mózgowej półkul, mianowicie heteretopij, mikro-, makrogyrii, porencefalii, oraz stanu kory brodawkowatego.

Na sam koniec pozostawiłem omówienie najcelniejszej pracy *Borowieckiego,* która ugruntowała Mu stanowisko wśród eksperymentatorów ośrodkowego układu nerwowego i badaczy dróg przewodzenia. Jest to praca, którą wykonał jeszcze w r. 1911 u *Monakowa* pt. *„Badania porównawczo-anatomiczne i doświadczalne nad istotą szarą mostu Varola i jej połączeniami"*, wydana obszernie po niemiecku, a w streszczeniu polskim w I. tomie Neurologii Polskiej. *Borowiecki* ustala wpierw cytoarchitektonikę części podstawowej mostu u człowieka i kilku dostępniejszych zwierząt (psa, królika, kota i owcy) wyróżniając w niej 5 do 6 grup: grupę brzuszną, środkową, przyśrodkową, konarową, otaczającą obwód pęczków idących z podstawy konara, grupę boczną i grzbietowo-boczną. Za punkt wyjścia badań doświadczalnych obrał sobie znany fakt wyrodnienia wtórnego istoty szarej mostu po przecięciu ramienia mostu lub konaru mózgowego — po uszkodzeniu pierwszego po stronie przeciwległej, po uszkodzeniu zaś drugiego po tej samej stronie. Zadaniem pracy było określenie rozmiarów i umiejscowienia zwyrodnienia komórkowego. Na podstawie

prostszych oraz bardziej złożonych zabiegów oddzielających most od móżdżku, albo od mózgu, lub od obu tych tworów, dochodzi *Borowiecki* do wniosku, że większość włókien łączących korę mózgową z mostem, przebiega w kierunku od kory mózgowej i kończy się w istocie szarej mostu, a tylko bardzo nieznaczna część konarowej istoty szarej wysyła wypustki nerwowe ku górze. Po doświadczeniu złożonym zdjęcia półkuli mózgowej po jednej stronie i półkuli móżdżkowej przeciwległej, udało się ostatecznie dowieść, co na podstawie innych doświadczeń *Borowieckiego* było tylko prawdopodobne, że niektóre grupy komórek (środkowa, część przyśrodkowej, brzuszna, w części grzbietowo-brzuszna, wreszcie ogonowo-boczny wyrostek grupy bocznej) nie mają związku ani z korą mózgową, ani z móżdżkiem. Z tych skupień komórkowych przyśrodkowe obu stron mają połączenia między sobą, część grupy przyśrodkowej i środkowej dają początek włóknom prostopadłym (f i b r a e r e c t a e), które biegną do czepca i kończą się we wstędze przyśrodkowej i w istocie siateczkowej strony przeciwnej, a niektóre przedostają się wyżej aż do wzgórka wzrokowego.

Do czasu, w którym wyszła praca *Borowieckiego*, most uchodził tylko za stację pośredniczącą w przewodzeniu podniet ruchowych. W świetle streszczonych badań *Borowieckiego* most przedstawia się jako twór o zawiłej budowie, którego istota szara, poza połączeniami z korą mózgową i móżdżkiem, jest w łączności także z istotą siateczkową czepca, z podwzgórzem, jądrami wzgórka wzrokowego i ze wstęgą przyśrodkową. Istota szara mostu przedstawia więc jądro swoiste tyłomózgowia, którego znaczenie przekracza zakres zwyczajnego pośrednictwa pomiędzy korą mózgową a móżdżkiem, co zresztą jeszcze *Burdach* przypuszczał.

W zakończeniu pracy *Borowiecki* poświęca kilka zajmujących uwag tak zw. zwyrodnieniu transneuralnemu czyli pośredniemu. Jak wiadomo, przy uszkodzeniach neuronów ulegają zwyrodnieniu, a po tym zanikowi komórki nerwowe, z których wychodzą zniszczone wypustki nerwowe i zwyrodnienie z reguły ogranicza się tylko do jednego neuronu. Są jednak znane przypadki, w których zwyrodnienie przechodzi także na komórki i włókna neuronu, sprzęgniętego czynnościowo z neuronem uszkodzonym. Tak właśnie zachowywała się istota szara mostu, w której jedne i te same komórki zanikały zarówno po przecięciu ramienia mostu, jak i konara, chociaż włókna konarowe należą do odrębnego neuronu, poczynającego się w komórkach zdala od mostu położonych.

W pracach neurologicznych *Borowiecki* wykazuje opanowanie wszystkich potrzebnych dziedzin i umiejętność podejścia do zagadnień także w sposób doświadczalny. Jego badania anatomiczne nad połączeniami istoty szarej mostu i poglądy na powstawanie wrodzonego braku węchomózgowia oraz pokrewnych wadliwości pozostaną trwałą zdobyczą nauki. W pracach nieanatomicznych poznajemy *Borowieckiego* jako wytrawnego klinicystę, gruntującego swe poglądy przede wszystkim na własnym zdaniu i doświadczeniu.

Z chwilą powołania na stanowisko profesora neurologii i psychiatrii, *Borowiecki* przestaje pracować naukowo w neurologii, pochłonięty zabiegami o zorganizowanie kliniki. Zabiegi te zabierają Mu cały wolny czas. Dostąpił tego szczęścia, że kosztem niezliczonych wysiłków i kosztem zdrowia stworzył przynajmniej klinikę neurologiczną, która w zupełności odpowiada swoim zadaniom. Nie było Mu danym zdobycie także siedziby klinicznej dla psychiatrycznej części katedry. Miał do rozporządzenia tylko odległy od kliniki neurologicznej i nieodpowiedni oddział psychiatryczny. Był więc zmuszony odpowiedzialną swą pracę dzielić między dwie placówki. Nie skarżył się jednak nigdy na trudne warunki pracy. W owym czasie, kiedy osiadł w Poznaniu, był pełen sił i zapału, nie zrażał się niczym, wierzył, że trudności pokona. Często dawał wyraz w rozmowach przeświadczeniu, że korzyścią jest dla profesora posiadanie obu katedr, neurologicznej i psychiatrycznej, i że nie tak trudno prowadzeniu obu dać radę. Zdawało się, że On właśnie mógłby był obalić moje wręcz odmienne przekonanie, ponieważ lubił oba przedmioty, doskonale się w obu orientował i umysł miał sposobny do myślenia zarówno kategoriami neurologa-internisty jak i psychiatrycznymi. Z czasem jednak *Borowiecki* musiał zmienić zdanie. Mierzył zrazu siły na zamiary, lecz później widział z każdym rokiem, że wskutek dwutorowości pracy ani jednej, ani drugiej dziedzinie nie mógł się odpowiednio wydatnie poświęcić.

Zasługą największą *Borowieckiego*, zasługą, która się nie przedawni, jest stworzenie w Uniwersytecie Poznańskim nowoczesnej kliniki neurologicznej, stworzenie tej kliniki na ugorze, z niczego i przygotowanie możliwości utworzenia w przyszłości kliniki psychiatrycznej. Kto zna choć trochę trudności, jakie piętrzą się u nas przy staraniach o jakiekolwiek wkłady budowlane dla celów uniwersyteckich, ten zrozumie wielkość tego wyczynu. Ten zarazem zrozumie, że ta praca wypełniała życie, ale że *Borowiecki* zdrowiem jej koszty musiał opłacać, aż wreszcie dał miarę tego, co z siebie dawał, za tę klinikę neurologiczną w Poznaniu płacąc swym sercem.

Prace neurologiczne Profesora Stefana Borowieckiego:

1. a) Vergleichend-anatomische und experimentelle Untersuchungen über das Brückengrau und die wichtigsten Verbindungen der Brücke. Arbeiten aus dem hirnanatomischen Institut in Zürich. H. 5. Wiesbaden, *Bergman* 1911. — b) Badania porównawczo-anatomiczne i doświadczalne nad istotą szarą mostu Varola i jej połączeniami. Neurologia Polska 1911.
2. a) Kilka spostrzeżeń z przebiegu uszkodzeń postrzałowych nerwów obwodowych. Przegląd Lekarski 1915. — b) po niemiecku w Neurol. Centralblatt. 1916.
3. O tzw. arinencefalii i jej stanowisku wśród wad rozwojowych mózgu. Rozprawy Wydz. Mat.-Przyrodn. Akad. Umiejętności w Krakowie, t. LVI. Ser. B. 1917 r.
4. Kilka zagadnień z zakresu postrzałowych uszkodzeń nerwów obwodowych. Gazeta Lekarska 1920. Nr 9/10.
5. O niedowładzie nieskrzyżowanym (homolateralnym). Przegląd Lekarski 1920.
6. Analiza przypadku niezwykłych współruchów oczu, głowy, tułowia i kończyn po obustronnym napadzie udarowym. P. Gaz. Lek. 1923. Nr 7 i 8 (praca wspólna z Dr. *Zd. Reichem).*
7. *Charcot* jako neurolog. Nowiny Lekarskie 1926, zesz. 2.
8. Przypadek myotonii zanikowej. P. Gaz. Lek. 1930 (wspólna z Dr. *Terajewiczem).*
9. Urazy czaszki w świetle materiału Kliniki Neurol. U. Pozn. Lekarz Kolejowy. 1933. Nr 2 — 3.
10. Wrażenia z II. Międzynarodowego Kongresu Neurologów w Londynie. Pol. Gaz. Lek. 1935. Nr 50.

NAUKOWO-PSYCHIATRYCZNA DZIAŁALNOŚĆ STEFANA BOROWIECKIEGO

podał
JAN MAZURKIEWICZ

Stefan Borowiecki z zamiłowania był bardziej psychiatrą, niż neurologiem. Psychika i jej zaburzenia interesowały Go bardziej, niż strona cielesna człowieka, ale jego zawsze wielostronne podejście do przedmiotu, którym się zajmował, chroniło Go od zasklepiania się we wszelkiej jednostronności. „Jeśli uznamy — pisał *Borowiecki* przed 12 laty — za ideał najwyższy *wiedzy przyrodniczej, jaką jest psychopatologia,* sprowadzenie wszystkich zjawisk psychopatycznych do zjawisk cielesnych, — zadaniem najpierwszym, poprzedzającym wszelkie inne, musi być ich poznanie ze strony psychicznej". Wymagał więc konsekwentnie w psychiatrii badań możliwie najbardziej szczegółowych, nie tylko psychiatrycznych, ale także neurologicznych i w ogóle somatycznych.

Na pierwszy rzut oka może się wydawać dziwnym, że *Borowiecki,* wychodząc z założenia, że psychopatologia jest wiedzą przyrodniczą, był równocześnie freudystą. W rzeczywistości jednak stanowisko Jego było doskonale konsekwentne: „apodyktyczna przesadność i jednostronność uczniów *Freuda* z jednej strony, a nieznajomość metod psychologii w psychiatrii z drugiej, przyczyniły się w znacznym stopniu do tego, że nauka *Freuda,* zawierająca mnóstwo nowych faktów i zagadnień psychopatologicznych, pozostała na uboczu przeważnej części nauki akademickiej". Można powiedzieć, że *Borowiecki* był freudystą, ale freudystą s u i g e n e r i s, bardzo ostrożnym, bardzo krytycznym, niechętnie używającym nawet terminologii psychoanalitycznej, która podaje gotowe już, nowe nazwy dla takich pojęć, do których bliższego i dokładniejszego określenia należy dopiero dążyć.

Dla *Borowieckiego* psychoanaliza była tylko jedną z metod, umożliwiających głębsze wniknięcie w zdrową i chorą psychikę ludzką, metodą, pozwalającą wykryć pewne nowe *fakty*, dotyczące *nieświadomych sił psychicznych*, wpływających jednak na myśl i na zachowanie się człowieka. „Nauka *Freuda*, pisał, powinna być już dzisiaj ze względu na owocność roztrząsań i badań rozpatrywana raczej jako szereg najróżnorodniejszych zagadnień, nie zaś jako jednolity i nietykalny układ teoretyczny". Psychoanaliza dla *Borowieckiego* jest sprawdzianem słuszności twierdzeń chorego o sobie, jest docieraniem do jego tendencyj nieświadomych, i dlatego — jak pisze — można ją „zestawiać z usiłowaniami psychologii obiektywnej i behawioryzmu, które także nie uznają świadomości, jako jedynego źródła poznania psychologicznego". Jak widzimy, freudyzm, ujęty w ten sposób, nie pozostaje rzeczywiście w żadnej sprzeczności z kierunkiem biologicznym, do którego zaliczał siebie *Borowiecki*, a także zatraca w zupełności ten odcień mistyczności, którym otaczają go niektórzy wyznawcy

Proste, ostrożne, krytyczne stosowanie metody psychoanalitycznej przy badaniu życia nieświadomego, które dla *Borowieckiego* nie jest światem pełnym tajemniczości, ale wczesnym okresem rozwoju psychicznego, powoduje, że wywody Jego działają przekonywująco i nie budzą wątpliwości ani w przypadkach nerwicy, w których analizuje sny, ilustrowane przez chorych rysunkowo, i uzupełniane wyjaśnieniem tych rysunków przez chorych, ani w przypadku histerii, wywołanej u 15-letniej dziewczynki przez piorun, który w jej oczach zabija towarzyszkę jej zabaw, ani w innych przypadkach nerwic i psychopatyj, które były głównym przedmiotem Jego psychologicznych i klinicznych zainteresowań.

Według *Borowieckiego* objaw histeryczny cechuje się psychologicznie „przede wszystkim tym, że pozornie nie wykazuje wcale albo w sposób jedynie bardzo niedostateczny lub trudno dający się wykazać związku z tym, co nazywamy osobowością", natomiast jest przejawem myślenia magicznego, którym kierują obawy i niezaspokojone życzenia chorego, i które się cechuje swoją złożonością, zmysłowo-obrazowym charakterem, zgęszczeniem itd. *Borowiecki* wykazuje, że podobnie jak schizofrenik może myśleć magicznie o wszystkim, tak histeryk może myśleć magicznie o swojej chorobie, i rzuca pytanie: „czy nie możnaby więc powiedzieć krótko, że histerykiem jest ten, którego objawy powstały na tle magicznego pojmowania *choroby?*", a więc na tle mechanizmów, właściwych wczesnym szczeblom rozwoju psychicznego.

Głośna epidemia psychiczna w Słupi pod Środą, badana przez *Stefana Błachowskiego i Borowieckiego*, dała autorom możność wykazania, jak zjawisko — prawdopodobnie iluzji, — które mogło być samo przez się uważane niemal za normalne, stało się tu zjawiskiem zasugerowanym, histerycznym, na drodze oddziaływania ludzi na siebie, nieumotywowanego logicznie, a więc uczuciowego, sugestywnego, przez co zostało wytworzone wspólne nastawienie psychiczne i powstało uszczuplenie znaczenia osobowości (regresja) i sytuacja podobna, jak w hipnozie czy schizofrenii. W widocznym związku z badaniami nad tą epidemią stoi praca *Borowieckiego* o „sugestii jako stanie czynnym", w której autor stwierdza, że badania te wykazują zgodnie z poglądami nowszych autorów, że osoba sugerowana bynajmniej nie jest całkowicie bierna, i że — wbrew *Jaspersowi*, który nie widzi w strukturze osobowości czynników, na podstawie których możnaby zrozumieć wpływ sugestywny, — widzenia i zachwyty, powstające na drodze sugestii w tej epidemii, są źródłem wyraźnego zadowolenia, są rodzajem spełnienia życzeń, nieuświadomioną tendencją wizjonerów i tłumu, a więc wyraźnie stwierdzają stan czynny w sugestii, którego źródło tkwi głęboko w popędach ludzkich. Pogłębienie wiedzy o sugestii wykazało potrzebę silniejszego oparcia się o rzeczywistość, czy to gdy idzie o rozumienie sugestii, czy o cel leczenia. Dlatego psychoterapeuta nie dąży dzisiaj do rozwoju chorobliwej sugestywności (hipnozy), lecz wyzyskuje wszędzie *normalną* sugestywność, starając się rozszerzyć horyzont umysłowy i świadomość chorego, przeciwdziałając sugestiom ujemnym, i stosując zamiast leczenia sugestią raczej inne metody (izolacji, perswazji, psychoanalizy, psychosyntezy itd.).

W pracy o „Stosunku jednostki do otoczenia w nerwicach" (1932) *Borowiecki* staje zasadniczo również na freudowskim stanowisku, że nerwica jest wyrazem starcia sprzecznych tendencyj życiowych, świadomych i nieświadomych, starcia, które doprowadza do zahamowania rozwoju, ale nadto wykazuje, że w nerwicy, oprócz tendencji regresyjnej, istnieje w pracy nieświadomego również tendencja twórcza, prospektywna, której nie wyczerpuje ani popęd seksualny *Freuda*, ani chęć utrzymania się przy życiu i pragnienie mocy *Adlera*, ponieważ treść tej nieświadomości jest *wieloznaczna*. W tym poglądzie *Borowiecki* zbliża się do zapatrywań *Junga i Weizsäckera*, i niewątpliwie ma słuszność, występując przeciwko jednostronności *Freuda i Adlera*, ale również niewątpliwie sam wyczuwał pewną mglistość dotychczas proponowanych określeń nieświadomej „twórczości prospektywnej", ponieważ sam podkreśla ich względność i uważa je tyl-

ko za hipotezę roboczą, mogącą ułatwić poznanie wszelkich sił nieświadomych. W rezultacie nerwica w ujęciu *Borowieckiego* jest „rodzajem zaburzenia stosunku jednostki do społeczeństwa, nieudanym rozwiązaniem zagadnienia tego stosunku", które z konieczności narzuca się każdemu człowiekowi, a które nie udaje się dlatego, że „stosunek dziecka do rodziców nie pozwala w nerwicy wyłonić się w sposób pomyślny stosunkowi do reszty społeczeństwa".

W parę lat później ujmuje *Borowiecki* (w pracy pt. „Klasyfikacja zaburzeń psychicznych reaktywnych i ich stosunek do tak zwanych nerwic" — 1934) stosunek wpływów zewnętrznych na osobnika szerzej, i bardzo słusznie przestrzega przed przeciwstawianiem reakcjom egzogenicznym *Bonhöffera*, a więc reakcjom psychicznym na biologiczne zmiany w mózgu czy organizmie, — reakcyj psychopatycznych jako „endogenicznych". „Reakcja egzogeniczna *Bonhöffera* czy *Bumkego* jest bowiem w pewnym sensie *także* reakcją endogeniczną, a w reakcjach psychopatycznych, neurastenicznych czy psychogenicznych odgrywają w pewnym rozumieniu rolę *zarówno* czynniki egzogeniczne, a więc wszelkiego rodzaju szkodliwości zewnętrzne, otoczenie czy sytuacje życiowe, jak i czynniki endogeniczne — konstytucja czy usposobienie dziedziczne. Stąd ustalenie warunków powstania zaburzenia reaktywnego nie da się zazwyczaj, jak z tego stanu rzeczy wynika, w sposób ścisły przeprowadzić", i należy uznać, że to, co w reakcjach psychopatycznych, neurastenicznych czy psychogenicznych jest dla nas w chwili obecnej *najbardziej istotne*, to nie jest ich egzogeniczność albo endogeniczność, ale przede wszystkim ich charakter *czynnościowy*, funkcjonalny, a więc niemożność przy dzisiejszym stanie wiedzy znalezienia z nimi tylko związanych organicznych zmian mózgu lub ustroju; pozytywne określenia tych reakcyj mogą być zatem tylko psychologiczne, a na ich powstaniu wyciskają swoje piętno przeżycia, zwane przyczynami psychicznymi.

Chociaż więc nie ma całkowitego przeciwieństwa pomiędzy reakcjami psychopatycznymi a egzogenicznymi *Bonhöffera* i chociaż te typy reakcyj często się wzajemnie kombinują, to jednak zdaniem *Borowieckiego* należy wyróżniać *dwie zasadnicze grupy reakcyj*. Autor zalicza do *pierwszej grupy reakcje psychiczne aktualne* (według *Freuda)*, zaś do *drugiej grupy reakcje na przeżycia psychiczne*, czyli *nieaktualne*, ponieważ są zależne od *przeróbki* psychicznej przeżyć afektywnych. Do pierwszej grupy (reakcyj na zaburzenia cielesne), zalicza *Borowiecki* 1. — *reakcje neurasteniczne*, stanowiące najlżejszą postać uszkodzenia mózgu, i nie mające nic wspólnego ani z neurastenią *Beard'a* (1880), ani z neurastenią konstytucjonalną, gdyż reakcje

te są przemijające i powstają z wyczerpania, zatrucia, zakażenia, lub jako początek organicznych schorzeń; 2. — *ostre reakcje afektywne* na czynniki, wywołujące wstrząs psychiczny (katastrofy), — jak nerwica z przerażenia, porażenie uczuciowości, stany depresji, stany zamroczenia czy osłupienia, zespół objawów naczyniowo-ruchowych, wreszcie tzw. shock, polegający na zwykle dość szybko przemijającym zahamowaniu czynności ważnych ośrodków w rdzeniu przedłużonym (nieprzytomność, trupia bladość, tętno nitkowate, niekiedy *Cheyne-Stokes* itd.); 3. — *reakcje lękowe* występują jako ostre reakcje afektywne, albo reakcje na czynniki bardziej przewlekłej natury, różnego pochodzenia; lęk bezprzedmiotowy w czystej postaci zdarza się dość rzadko, ale według *Borowieckiego* znacznie częściej, niż reakcja neurasteniczna, może niekiedy występować z szeregiem zaburzeń cielesnych natury wegetatywnej, przy tym lęku może prawie nie być. *Limanowski* w klinice poznańskiej na 154 neurotyków z jednego roku wyodrębnił 52 nerwice lękowe, 33 nerwice lękowe z objawami histerycznymi, 35 histeryj i 34 lęki sytuacyjne natręctwa i bliżej nieokreślone, natomiast nie znalazł żadnej neurastenii. W patogenezie reakcyj lękowych gra rolę nie tylko brak zaspokojenia popędu płciowego (*Freud*), ale także narażenie instynktu samozachowawczego na ciężkie próby, lub w ogóle niezaspokojenie dążeń.

W drugiej grupie reakcyj na przeżycia psychiczne, reakcje te mogą zależeć bądź w większym stopniu od psychicznego wpływu otoczenia, i do tych *Borowiecki* proponuje stosować nazwę *reakcyj psychogenicznych,* (objawy w sferze cielesnej, napady psychogeniczne, zaburzenia świadomości psychogeniczne, zależne od otoczenia reaktywne urojenia), bądź też może w nich przeważać czynnik endogeniczny (usposobienie wrodzone i dziedziczne), i te autor nazywa *reakcjami psychopatycznymi* (reaktywne urojenia, zależne także od usposobienia, fobje, natręctwa myślowe), które mogą stanowić przejście do osobowości psychopatycznych.

Jak widzimy, na tym ogromnym, ale dotąd bardzo chwiejnym terenie psychopatyj i psychonerwic porusza się *Borowiecki* z właściwą Mu wielką ostrożnością i sumiennością naukową, starając się oprzeć omawiane obrazy kliniczne na jakichś mocniejszych i trwalszych podstawach. Stąd unika w swej klasyfikacji wieloznacznych wyrazów nerwica, neurastenia, histeria, nerwica urazowa, urojenia odszkodowawcze, ponieważ słusznie uważa, że nie istnieją one jako ściśle odgraniczone jednostki chorobowe, i że ich *budowa* pod względem klinicznym jest ważniejsza, niż czynnik wyzwalający, i nie zewnętrzny moment wywołujący, ale budowa i składniki zaburzenia de-

cydują o klinicznej ciężkości zaburzenia; podkreśla przy tym, że zaburzenia psychiczne reaktywne wyjątkowo tylko występują w postaci czystej, zwłaszcza zaburzenie aktualne, które stanowi najczęściej podłoże do rozwoju reakcyj psychogenicznych czy psychopatycznych, które zmieniają i zacierają obraz reakcji pierwotnej.

Dążąc do poznania budowy osobowości i budowy zaburzenia nerwicowego, i podkreślając w tym ostatnim znaczenie nieudanego rozwiązania stosunku jednostki do otoczenia, *Borowiecki* podkreśla („Patologia charakteru" 1933) czynny pierwiastek ciągłego tworzenia się *charakteru*, który stanowi o indywidualnie odrębnym sposobie reagowania na bodźce zewnętrzne, i który jest wytworem nie tylko wychowania i wpływów zewnętrznych, jak to twierdzi *Hoffmann*, ale także *dziedziczności*. Stąd wynika zrozumiałe zainteresowanie *Borowieckiego* zagadnieniem dziedziczności, której wpływy widzi autor w odrębności charakteru członków rodziny, wychowywanych w tych samych warunkach, a jeszcze wyraźniejsze wpływy w patologii, mianowicie w dziedziczeniu podobnym.

Najwybitniejszą pracą *Borowieckiego* z tego zakresu są „Badania genealogiczne trzech rodzin ciężko obarczonych usposobieniem do chorób umysłowych" 1921. Żmudne te dociekania doprowadziły Autora do uzyskania wiadomości w I rodzinie o 86 osobach, w II o 71, zaś w III o 157. W pierwszej rodzinie przypadki psychozy maniakalno-depresyjnej i przypadki schizofrenii występowały w różnych szeregach, ale nigdy wśród rodziców i dzieci; tutaj zatem stwierdza Autor polimorfizm obrazów klinicznych. W II rodzinie znalazł *Borowiecki* u wszystkich 5 chorych członków rodziny ojca probandki dziwną mieszaninę schizofrenii i psychozy maniakalno depresyjnej w kombinacjach bardzo różnych o przebiegu mniej lub więcej złośliwym; zaś w rodzinie matki probandki stwierdził rozmaitość jednostek chorobowych, wykazującą jednak również pierwiastki wspólne, a więc brak okresowości i rysów maniakalno-depresyjnych w obrazach schizofrenicznych, a nadto parokrotne występowanie usposobienia do padaczki i głuptactwa. Więc obie spuścizny, i po ojcu, i po matce, są różne, i każda z nich — obok różnic — wykazuje podobieństwa rodzinne, nie zawsze w znaczeniu jednakowego rozpoznania, ale niekiedy w znaczeniu podobieństwa poszczególnych objawów, przebiegu lub korelacji. *Borowiecki* nie zgadza się z poglądem *Bleulera i Minkowskiej*, którzy sądzą, że taką mieszaninę schizofrenii i psychozy maniakalno-depresyjnej, opisaną przez *Minkowską* u 5 osób, należących do jednej rodziny szwajcarskiej (a podobną do przypadków *Borowieckiego* właśnie w tej II rodzinie), należy uważać za rodzaj „jednostki cho-

robowej dziedzicznej", — ponieważ nie wiemy właściwie, co się dziedziczy, na czym polega usposobienie do chorób umysłowych. Wobec tego, że przy badaniach nad dziedzicznością, na każdym kroku spotykamy wszelkie odchylenia od podobieństwa, skłania się *Borowiecki* raczej do poglądu *Rüdina,* że usposobienie do choroby psychicznej powstaje w każdym przypadku *na nowo,* wskutek możliwości najróżnorodniejszych kombinacyj zadatków, przenoszonych przez rodzicielskie komórki płciowe, co w rezultacie daje początek różnorodności i odcieniom usposobień osobniczych, i stąd wynika względność pojęcia jednostki chorobowej. Wreszcie w III rodzinie znalazł *Borowiecki* u 22 osób psychozę, stwierdzoną przez lekarzy (w tym 7 osób badanych przez *Borowieckiego),* a nadto na podstawie tradycji ustnej — dalszych 18 osób umysłowo chorych (przypuszczalnie na psychozę maniakalno-depresyjną). U 6 dalszych osób tej rodziny stwierdzili lekarze psychopatię konstytucjonalną (drażliwość, skłonność do wahań w kierunku lekkiej depresji lub hypomanii i do zaburzeń okresowych — a więc wyraźne rysy pokrewieństwa z psychozą maniakalno-depresyjną, nie dochodzącego jeszcze do psychozy. Z chorych, badanych przez lekarzy, w jednym przypadku rozpoznano padaczkę, w jednym otępienie starcze, w 4 stany depresyjne, w 4 — maniakalne, i w 10 — okresowe, przy braku wszelkich objawów schizofrenicznych. W niektórych przypadkach występowały jednak *kombinacje* poszczególnych składowych manii i depresji, np. w jednym przypadku obraz ciężkiej depresji z podnieceniem, w drugim przypadku chora sprawiała wrażenie stanu osłupienia maniakalnego; te dwa przypadki mąciły czysty obraz psychozy maniakalno-depresyjnej w tej rodzinie, „budząc przypuszczenie schizofrenii", jak pisze *Borowiecki,* zaś „z drugiej strony długość trwania psychozy (w jednym przypadku 7 lat, a w drugim nawet 17 lat) budziła niekiedy wątpliwość, czy to jest czysta postać psychozy maniakalno-depresyjnej. Autor podkreśla trudność oceny jakości, swoistości i odrębności tych 2 przewlekłych przypadków, które przedstawiają (tak samo, jak w przypadkach *Kräpelina i Stransky'ego)* pewne oznaki otępienia umysłowego, zbliżające je do stanów w końcowych okresach otępienia przedwczesnego. Dzisiaj w 16 lat po ogłoszeniu tej pracy *Borowieckiego* — przypadki te — bardzo zresztą rzadkie — są wciąż ciekawe i wciąż oczekują odpowiedzi na zapytania, postawione przez *Borowieckiego.* Rodzina ta przedstawia zatem przykład rozległego dziedziczenia podobnego, przedstawiającego jednak przy bliższym rozejrzeniu się najróżnorodniejsze postacie usposobienia psychopatycznego, a więc pewien polimorfizm dziedziczenia podobnego. Z badań tych wnioskuje *Borowiec-*

ki, że zarówno pojęcie podobieństwa dziedziczenia, jak i jego polimorfizmu, jest względnym, gdyż na pierwszy plan wysuwa się rozmaitość spostrzeganych fenotypów klinicznych, która wymaga rewizji pojęcia jednostek chorobowych, w dotychczasowym ich rozumieniu nie odpowiadających wymaganiom biologii, gdyż nie są dość genealogicznie i biologicznie pomyślane. W każdym razie uważa *Borowiecki* za definitywnie pogrzebaną dawną naukę o dziedziczeniu jednolitego, wspólnego i podobnego usposobienia do schorzeń umysłowych w ogóle, które dawniej było nierozerwalnie związane z nauką o poliformizmie, a według którego wszystkie postacie psychoz i psychopatyj były sobie równoznaczne.

Pozostałe prace *Borowieckiego*, dotyczące dziedziczności usposobienia do chorób psychicznych, mają charakter krytycznych ocen i referatów zbiorowych, świadczą o Jego niesłabnącym zainteresowaniu tymi zagadnieniami, które do ostatnich chwil Jego życia przejawiało się także w dążności do zorganizowania Polskiego Instytutu badań nad dziedzicznością w chorobach psychicznych, dążności, mającej na celu zdobycie materiału faktycznego, dotyczącego stosunków polskich.

Trudno jest w tak krótkich słowach zobrazować w pełni psychiatryczny dorobek *Borowieckiego*, który niewątpliwie w Polsce był najlepszym i najgłębszym znawcą i badaczem zaburzeń psychopatycznych i dziedziczności w zakresie schorzeń psychicznych. Przedwczesna i nieoczekiwana śmierć Jego jest dla psychiatrii polskiej stratą tym bardziej niepowetowaną, że był On jedynym kierownikiem kliniki mieszanej, neurologiczno-psychiatrycznej, który wykazywał szczere, głębokie zainteresowanie raczej psychiatrią, aniżeli neurologią, i że zachodzi obawa zgaśnięcia wraz z Jego życiem jedynego żywego ogniska pracy psychiatrycznej w polskich klinikach mieszanych, — jeżeli ich podział na odrębne kliniki nie zostanie dokonany, jak tego domagają się jednomyślnie powzięte uchwały Polskich Towarzystw Neurologicznego i Psychiatrycznego, i jak tego w ostatnich latach domagał się również ś.p. *Stefan Borowiecki.*

Spis prac psychiatrycznych ś.p. prof. Stefana Borowieckiego

1. Przypadek przemijającej psychozy i rozszczepienia czucia na tle przymiotu. Czasopismo Lekarskie, Nr 7, 1905 r.
2. Przyczynek do poznania mechanizmu psychologicznego urojeń prześladowczych. Urywek z analizy przypadku dementiae paranoides. Neurologia Polska, t. I, 1911 r.
3. Metoda psychoanalityczna *Freuda* i jej kryteria. Przegląd Lekarski, 1911 r.

4. Katalepsja, echopraksja i automatyczna uległość wobec rozkazów. Polskie Czasopismo Lekarskie, 1920 r., Nr 9/11.
5. Badanie genealogiczne trzech rodzin ciężko obarczonych usposobieniem do chorób umysłowych. Rozprawy Akademii Lekarskiej t. 1/2, 1921 r.
6. Spostrzeżenia i uwagi w sprawie choroby *Alzheimera* i ograniczonego starczego zaniku mózgu *Picka*. Nowiny Lekarskie, 1922, zesz. 11/12.
7. Uwagi w sprawie kierunku psychologicznego w psychiatrii współczesnej. Rocznik Psychiatr., zesz. II, 1925 r.
8. Histeria ze stanowiska myślenia pierwotnego. Neurologia Polska, t. VIII, 1925 r.
9. Stan obecny nauki o dziedziczności w psychiatrii. Rocznik psychiatr., zesz. VI, 1927 r.
10. Epidemia psychiczna w Słupi pod Środą (wspólnie z Prof. Dr. *Stefanem Błachowskim)*. Rocznik Psychiatr., zesz. VII, 1928 r.
11. Sugestia jako stan czynny. Nowiny Lekarskie, zesz. 7, 1931 r.
12. Uwagi w sprawie tzw. nerwicy urazowej. Nowiny Lekarskie, 1930 r., zesz. 4, i Lekarz Kolejowy Nr 3 — 4, 1929 r.
13. Alkohol i dziedziczenie. Rocznik Psychiatr., zesz. 16/17, 1931 r.
14. Stosunek jednostki do otoczenia w nerwicach. Rocznik Psychiatr., zesz. 18/19, 1932 r. i Monografie Psychiatryczne.
15. Patologia charakteru. Rocznik Psychiatr., zesz. 20, 1933 r.
16. Sen a całokształt życia psychicznego. Rocznik Psychiatr., 1933 r., zesz. 21 i Monografie Psychiatryczne.
17. Klasyfikacja zaburzeń psychicznych reaktywnych i ich stosunek do tzw. nerwic. Rocznik Psychiat., 1934, zesz. 23 i Monografie Psychiatryczne.
18. Wrażenia ze Zjazdu Psychiatrów Niemieckich w Monastyrze. Polska Gazeta Lekarska, 1934, Nr 31.
19. W sprawie programu psychiatrii polskiej. Rocznik Psychiatr., zesz. 25, 1935 r.
20. Dziedziczność w chorobach umysłowych i jej zwalczanie. Higiena Psychiczna, zesz. 1 — 3, 1936 r.
21. Stan i potrzeby nauki o dziedziczności w psychiatrii polskiej. Rocznik Psychiatr., zesz. 29 — 30, 1937 r.
22. Badania nad niedorozwojem umysłowym (praca napisana wspólnie z asystentami Dr. *H. Dowżenko-Łęcką i* Dr. *A. Dowżenko)*, wygłoszona jako odczyt na XVII Zjeździe Psychiatrów Polskich we Lwowie w d. 5.VII, 1937 r.
23. Lęki sytuacyjne Prusa (praca jeszcze nieogłoszona, nadesłana przez Prof. *Stefana Błachowskiego)*.

PROFESOR BOROWIECKI JAKO PEDAGOG

podał

TADEUSZ MARKIEWICZ

Śmierć — przerywając działalność pedagogiczną Profesora *Stefana Borowieckiego* — wyrządziła nam szczególnie ciężką i niepowetowaną szkodę; przerwała ją bowiem w chwili, gdy wiedza Jego rozległa i dużym doświadczeniem życiowym pogłębiona obiecywała dać nam najwięcej.

Czujemy dobrze, jak wiele straciliśmy; dzień zaś dzisiejszy poświęciliśmy szczególnie Jego Osobie i rozważaniom, co zdziałał i czym dla nas był. Co do mnie przypadł mi w udziale zaszczyt dodania kilku rysów do całokształtu charakterystyki Jego Osoby. Nie potrafię oczywiście w zupełności wyrazić tego wszystkiego, co Mu zawdzięczamy. Wiedziony uczuciem, jakie żywi uczeń dla swego Mistrza, pragnąłbym nie mniej z zadania mego wywiązać się jak najistotniej.

Działalność pedagogiczna Profesora *Borowieckiego* — to strona twórczości Jego niepisana, niedrukowana, lecz mająca wagę nie mniejszą, jak twórczość Jego naukowa wyrażona w piśmie.

Do pracy swej pedagogicznej był Profesor *Borowiecki* przygotowany znakomicie. Praca w różnych ośrodkach i w różnych dziedzinach nauki, pod kierunkiem mistrzów wielkich, dała obdarzonemu wybitnymi zdolnościami wykształcenie wielostronne, duży zapas wiedzy, szeroki horyzont myśli wybiegających daleko poza granice neurologii i psychiatrii. Czerpiąc wiedzę od swoich mistrzów ujmował ją Zmarły jednak swoiście, i dalej samodzielnie rozwijał i wzbogacał.

To Jego indywidualne ujmowanie wiedzy przejawiło się już — jak wiemy — w Jego pierwszych pracach naukowych, a na polu dydaktycznym w wykładach, które jako młody docent rozpoczął w roku 1917-tym w Krakowie.

Wielostronne Jego wykształcenie i wiedza oraz zdolności organizacyjne predestynowały Go szczególnie do objęcia nowoutworzonej katedry neurologii i psychiatrii na Uniwersytecie Poznańskim, dokąd to został powołany w roku 1921.

Ciężkie czekało Go zadanie: praca nauczycielska wymagała placówki, a tę trzeba było dopiero stworzyć. Jako podstawę organizacyjną Zmarły otwiera pierwszą w Poznaniu poliklinikę neurologiczno-psychiatryczną i sam nią kieruje, prowadzi wykłady uniwersyteckie, uczy i szkoli swoich asystentów, wreszcie wśród wielkich trudności buduje i urządza Klinikę. Praca ta zabrała Mu długi szereg lat. Powoli, lecz stale oparta na solidnych podstawach rozwijała się Klinika pod Jego czujnym kierownictwem. Urządzał pracownie: serologiczną, psychologiczną, anatomiczną — i wiele starań przykładał do ich pomyślnego rozwoju. Z ogromnej ilości ciążących na Nim z początku obowiązków powoli tylko i stopniowo mógł składać część w ręce swoich współpracowników. Mimo to zawsze jeszcze pozostało aż nadto wiele takich, którym musiał sam podołać: kierownictwo kliniki i polikliniki neurologiczno-psychiatrycznych, prace związane z organizacją i rozwojem pracowni naukowych, szkolenie asystentów, wykłady uniwersyteckie, orzecznictwo. Wszędzie Jego Osoba, myśl Jego i żywy przykład wytyczały kierunek, wyciskały piętno osobiste na biegu prac. Wszędzie przejawia się Jego działalność jako nauczyciela i wychowawcy.

Rozpatrując poszczególne dziedziny tej Jego działalności zacznijmy od wykładów.

Działalność Jego jako wykładowcy obejmowała duży zasięg, na polach różnych: klinika neurologiczna i psychiatryczna, psychologia lekarska, nauka o nerwicach. Wielorakość kierunków świadczy o Jego wiedzy, w każdej zaś z tych dziedzin potrafił znaleść i dostosować się do swoistej ich płaszczyzny myślenia. Zamiłowanie do analizy w każdej dziedzinie nie wykluczało zdolności do syntezy. Sprawiało to, że zagadnienia znajdował i formułował jasno, dostępnie dla słuchaczy, a nie mniej ściśle naukowo. Brak rzucającej się w oczy błyskotliwości, unikanie nęcących schematów czy systemów, tak nieraz frapujących, a jakże w gruncie rzeczy złudnych, świadczy o zrozumieniu ducha istotnej naukowości i wielkim poczuciu odpowiedzialności naukowej.

Sylwetki chorych demonstrowanych na wykładach występowały wyraźnie narysowane. Po szczegółowej analizie objawów — świadczącej o Jego wiedzy i doświadczeniu — zestawiał fakty najistotniejsze

dla danego cierpienia. Przestrzegając zasad dydaktycznych uwypuklał w wykładach dla studentów jedynie aktualny zespół neurologiczny, czy psychiatryczny. W klinice natomiast, w pracy ze swoimi uczniami, uczył zawsze ująć i rozumieć dane objawy chorobowe na bliższym czy dalszym tle „całokształtu", a miał przy tym na myśli człowieka jako jednostkę biologiczną, wyrosłą i związaną ze środowiskiem biologicznym i społecznym, i konieczność rozumienia objawów chorobowych jedynie jako wypadkowej czynników psychicznych, biologicznych i społecznych.

Tego rodzaju stanowisko szczególnie cenne było i o doniosłym znaczeniu w dziedzinie nauki o nerwicach i w psychologii lekarskiej. Mając wielkie zasługi na polu rozwoju *nauki o nerwicach,* dorzucając do skarbca nauki wiele własnych zdobyczy w tej dziedzinie, szczególnie dużo dał swoim uczniom, ucząc ich patrzeć w każdym przypadku odpowiednio do jego właściwości na objawy chorobowe i rozumieć je jako objawy konfliktu danej jednostki z otoczeniem w znaczeniu ogólnym i szczegółowym.

Psychologia lekarska, taka jaką wykładał Profesor *Borowiecki,* znalazła w ogóle dopiero w Nim swego twórcę. Wykłady te cieszyły się frekwencją słuchaczy ze wszystkich wydziałów. Jako owoc głębokiej wiedzy i znajomości życia tętnią one wnikliwym zrozumieniem życia psychicznego i jego zjawisk. W oryginalnym ujęciu nauki o nich tkwią niespożyte Jego zasługi nad budowaniem prawdziwej psychologii lekarskiej, będącej, jak mówi „nie częścią jakiejś psychologii ogólnej, lecz takiej psychologii, która musi być drogowskazem wśród często zwalczających się wzajemnie kierunków psychologicznych, a zarazem obrazem zdobyczy psychologicznych uzyskanych przez badaczy lekarzy w działalności lekarskiej" (wykłady o psychologii lekarskiej).

Zanalizujmy pokrótce bliżej wykłady Jego z tej dziedziny, będące niejako wzorem Jego sposobu myślenia i podchodzenia do zagadnień naukowych.

Przejawia się w nich Jego sposób patrzenia na życie i ujęcie go „wielowymiarowe". wzgl. „wielowartościowe". Każde zjawisko ma wiele znaczeń, wiele oblicz, a właściwości naszego myślenia pozwalają nam na ujęcie zawsze tylko jednego, względnie b. niewielu tych znaczeń. Podkreślając, że przy tłumaczeniu jakiegoś zjawiska z danego punktu widzenia nie wyczerpuje się wszystkich jego znaczeń, czynił to właśnie w taki sposób, że zwracał uwagę na istnienie dalszych jego oblicz.

Z wieloważności zjawisk wybierał więc to, co dla *danego zagadnienia* było *istotne* i popierał je licznymi i trafnie dobranymi przykładami z życia. Umiał jednakże *z każdego punktu widzenia* spojrzeć tak, że wydobywał istotę zagadnienia. Dając zaś odpowiednio narysowane tło przedstawiał *całość*.

Ujmując istotę rzeczy, starał się „jądro" sprawy wyrażać w słowach możliwie jasnych i nie nasuwających wątpliwości. Mimo rozległego horyzontu myśli i świadomości różnorodnego zwikłania się zjawisk życia — poczucie konieczności uwypuklania zawsze tylko jednego prowadzącego zagadnienia kazało Mu w jakimś zespole zjawisk znajdywać oś strukturalną, w około której grupował umiejętnie poszczególne fakty i zagadnienia. Nie był to jednak szablon. Cechująca Jego umysł zdolność podążania zawsze za prądem życia i dostosowania się do ciągłych przemian w życiu powodowała, że ujęcie strukturalne jakiegoś zagadnienia pełne było dynamizmu rozwojowego.

Omawiane przez siebie mechanizmy psychologiczne ustosunkowywał do siebie w zależności od ich roli w życiu psychicznym. W Jego przedstawieniu rzeczy nie były one jakimiś fikcjami, abstrakcjami, oderwanymi od życia. Dojrzał je wszędzie w życiu i opisywał na tle żywej rzeczywistości na przykładach umiejętnie przytaczanych z dzieł pisarzy, filozofów, poetów, umiejąc przy tym zawsze dać jakieś swoiste, oryginalne ujęcie zagadnienia.

Charakterystyczne dla Jego poczucia rzeczywistości i wielorakości przejawów życia jest zamiłowanie do dokładnego, niemniej jasnego, opisywania zjawisk w miejsce natychmiastowego ich katalogowania według jakichś terminów, nie zawsze trafnych i nie dających dokładnego wyobrażenia o danym zjawisku. Podając myśli nowe i oryginalne, zwracając uwagę na jakieś nowe połączenia i wartościowania zjawisk, Zmarły czynił to często słowami innych ludzi, cytatami pisarzy, i podkreślał ogólnoludzkie znaczenie opisywanych przez siebie faktów. Mówił językiem dostępnym dla wszystkich, w zwrotach jasnych, pozbawionych neologizmów, starając się być zawsze zrozumianym. Znanymi słowami potrafił wyrażać myśli nowe.

Ciągła praca, nowe zdobycze, nowe punkty widzenia zajmowane w kolei rozwoju Jego badań warunkowały, że z roku na rok zmieniał swoje wykłady dążąc stale do udoskonalenia swych poglądów, do coraz lepszego i jaśniejszego wysławiania się, do możliwie wielostronnego ujęcia zjawisk z różnych punktów widzenia. Pozwalało mu to dojrzeć i ocenić to, co istotne i trwałe. Wreszcie dążył do sprawiedliwego i obiektywnego przedstawienia i uwzględnienia poglądów różnych szkół. Zestawiając je z okazji opisu i analizy jakiegoś zjawiska,

podkreślał wartość zastosowania równoczesnego względnie równorzędnego tych poglądów, będących przecież wyrazem różnorodnych sposobów patrzenia na rzeczywistość i wzajemnie się uzupełniających. Nie utkwił więc w szablonie, w jakiejś rutynie pojęć i określeń. Schemat bywał Mu tylko w danej chwili pomocny do przedstawienia pewnego sposobu patrzenia na rzeczywistość i w miarę rozwoju poglądów ulegał przemianie.

Podobnie wielowymiarowy sposób patrzenia, jaki cechowały Jego wykłady, uczył zastosowywać przy *badaniu chorych w Klinice*. Uczył zawsze należycie uwzględniać i wyodrębniać w całokształcie zjawisk spostrzeganych u chorego sprawy organiczne neurologiczne, zaburzenia psychiczne czy reakcje nerwicowe, i spostrzegać różnorodne związki, w jakich czynniki te się łączą, w zależności od danego osobnika i danej sytuacji. Należyta dopiero analiza tych momentów pozwalała, Jego zdaniem, „zrozumieć przypadek" i zastosować terapię.

Wielkie doświadczenie, niezwykle wnikliwe spojrzenie i przysłowiowa ostrożność pozwalały Mu unikać wielu błędów płynących ze zbyt szybkiego wysnuwania wniosków, jak to się zdarza przy zatrzymywaniu się tylko na tych zjawiskach chorobowych, które tak często swoją pierwszoplanowością nas łudzić mogą.

W różnych sytuacjach kontaktu z chorymi okazywał częstokroć podziwu godne opanowanie i subtelny takt, a nie wahał się okazać i serca tam, gdzie go naprawdę było potrzeba.

Z rozległym i głębokim doświadczeniem nieodłącznie w parze szedł u Niego pewien sceptycyzm, a nawet pesymizm, każący jasno i odważnie spojrzeć w twarz rzeczywistości, tak ostatecznie trudnej do ogarnięcia. Ten sceptycyzm powstrzymywał Go przed łatwymi złudzeniami, niemniej trafnie wiódł Go do znajdywania rzeczy istotnie wartościowych i prawdziwych i do wiary w sens pracy nad gromadzeniem i pomnażaniem tych właśnie wartości, które przetrwają. Zapatrzony w cele wielkie i dalekie rozumiał i doceniał niemniej znaczenie codziennego, żmudnego wysiłku na drodze do tych celów, na drodze, na której padają jednostki tworząc swoim wysiłkiem przejścia dla pokoleń. Stąd to wysokie Jego poczucie obowiązku ponadindywidualnego, znaczenia naszej pracy dla postępu ogólnego w pokoleniach. „Pracujemy dla Kliniki" mawiał zawsze, wskazując na bezpośredni przykład tego sposobu myślenia. W tym sensie swych współpracowników zaprawiał do karności i do podporządkowania się nakazom w imię dobra wyższego, nawet w trudnych sytuacjach, a czynił to

w sposób spokojny, cichy, bez patosu. Zaprawiał do życia, być może trochę surowo, lecz rozumieli Go ci, których wybrał na współpracowników. Obdarzony spojrzeniem daleko naprzód sięgającym i przewidujący oceniał należycie fakty, a bieg wypadków potwierdzał słuszność Jego oceny.

Wymagał wiele od tych, którzy Mu byli bliscy — lecz najwięcej wymagał od siebie. Uczył nie tyle słowami — co ma mniejsze znaczenie — ile własną osobą i postępowaniem. Pracownik niestrudzony, niezważający na czyhające nań niebezpieczeństwo, trwał na swej drodze, zapatrzony w daleką przyszłość swych planów, i padł na posterunku.

Wypróbowując swych uczniów, nie szczędził im dowodów swej przychylności i życzliwości i w kontakcie z nimi objawiał cenne swe zalety, jako Człowieka: sprawiedliwość i bezstronność, rycerskość i wielkoduszność, wielki takt i wytworność w traktowaniu tematów osobistych. Wielka Jego dobroć nieraz z żalem musiała ustępować w życiu przed koniecznościami, a przede wszystkim, gdy w grę wchodziły nakazy wyższe i konieczności nadrzędne.

Zachęcał swych współpracowników do pracy naukowej i sam — mimo ogromnej liczby koniecznych innych zajęć — był im w tej pracy przykładem. Budził zainteresowania, dawał inicjatywę i umiejętnie wspierał przejawy indywidualnej pomysłowości; kontrolował jej aktywność, lecz nie krępował. Czuwając nad rozwojem pracy ucznia, wprawiał go do dyscypliny myślowej w stawianiu i opracowywaniu zagadnień naukowych, podkreślał konieczność przestrzegania nakazów wysokiej etyki w pracy naukowej: bezwzględnej uczciwości w podawaniu wyników i w ustosunkowaniu się do innych autorów. Uczył zwięzłości i prostoty formy i stylu, unikania frazesów i określeń ogólnikowych, uczył ograniczania się do rzeczy istotnych, które niemniej winny być określane w słowach jasnych i zrozumiałych, za których każde ponosi się pełną odpowiedzialność.

Sam, jak wspomniałem, był też takim w życiu, jakim się realizował w swej twórczości. Człowiek o znanej skromności, nienawidzący łatwych efektów i pozorów, skromności płynącej z głębokiej wiedzy i świadomości przemijania wszystkich rzeczy. Cechująca Go harmonia i konsekwencja słów z czynami przeciwstawia Go takim, którzy realizują i utrwalają w pracy inne „ja", niż w życiu.

Profesor *Borowiecki* jako pedagog — to część twórczości niepisana, nieopublikowana, lecz niemniej ważna, i tworząca z nią całość wielką i jasną, która trwać będzie w sercach naszych i pamięci.

AKADEMIE.

W Warszawie:

Polskie Towarzystwo Neurologiczne oraz Polskie Towarzystwo Psychiatryczne urządziły wspólnie dn. 7 grudnia 1937 r., o godzinie 20 m. 15 Akademię ku czci *Stefana Borowieckiego*, Prof. Uniw. Pozn. Akademia odbyła się w Klinice Psychiatrycznej U. J. P. (Warszawa, ul. Konwiktorska 7).

Porządek dzienny:

1. Doc. Dr *W. Łuniewski:* Ś. p. *Stefan Borowiecki* — Człowiek i życie.
2. Dr *J. Handelsman:* Działalność ś. p. *Stefana Borowieckiego* w Pol. Tow. Psych.
3. Prof. Dr *K. Orzechowski:* Ś. p. *Stefan Borowiecki* jako neurolog.
4. Prof. Dr *J. Mazurkiewicz:* Naukowo psychiatryczna działalność ś. p. *Stefana Borowieckiego.*
5. Dr *T. Markiewicz:* Ś. p. *Stefan Borowiecki* jako pedagog.

W Poznaniu:

Dziekan i Rada Wydziału Lekarskiego Uniw. Poznańskiego urządzili uroczystą Akademię dla uczczenia pamięci profesora dra *Stefana Borowieckiego* w Poznaniu dnia 30 stycznia 1938 r. w Małej Auli Collegium Minus (Wały Wazów 26) o godz. 12.

Porządek dzienny:

1. Prorektor Prof. Dr *K. Jonscher:* Wspomnienie pośmiertne.
2. Przemówienie Prof. Dra *S. Dąbrowskiego* Dziekana Wydziału Lekarskiego.
3. Przemówienie Prof. Dra *W. Kapuścińskiego* Prezesa Wydziału Lekarskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.
4. Przemówienie Pułkownika Dra *M. Naramowskiego* delegata Oddziału Poznańskiego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.
5. Doc. Dr *A. Gruszecka:* ś. p. Prof. Dr *Stefan Borowiecki* jako neurolog.
6. Profesor Dr *S. Błachowski:* ś. p. Profesor Dr *Stefan Borowiecki* jako psychopatolog.

7. Akt poświęcenia tablicy pamiątkowej ku czci śp. Profesora Dra *Stefana Borowieckiego* w Klinice Chorób Nerwowych i Umysłowych Uniwersytetu Poznańskiego, przy ul. Północnej 10.

Dnia 30 stycznia 1938 r. o godz. 12-tej w południe odbyła się w Małej Auli Uniwersytetu Poznańskiego przyozdobionej zielenią i kwiatami akademia ku czci śp. Profesora Dra Stefana Borowieckiego. Akademię otworzył Prof. Dr *Stefan Dąbrowski*, Dziekan Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego, przemawiając w imieniu Wydziału Lekarskiego U.P., po czym Prof. Dr *Karol Jonscher*, Prorektor Uniwersytetu Poznańskiego, wygłosił wspomnienie pośmiertne, dając sylwetkę Osoby i charakteru Zmarłego. Mówca, sięgając do wspomnień osobistego kontaktu ze Zmarłym, przedstawił Profesora Borowieckiego na tle Jego życia codziennego, podkreślając szczególnie te cechy charakteru, które zjednywały Zmarłemu serca tych, co mieli szczęście współżyć z Nim bliżej. Uwydatnił więc niezwykłą prostotę i skromność Zmarłego, Jego prawość i dobroć, wreszcie Jego wielką subtelność i pogodę, które to cechy sprawiły, że stratę Osoby Profesora Borowieckiego tak wszyscy głęboko odczuli.

Z kolei Profesor Dr *Witold Kapuściński*, Prezes Wydziału Lekarskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przedstawił działalność Profesora Borowieckiego jako prezesa tegoż Wydziału.

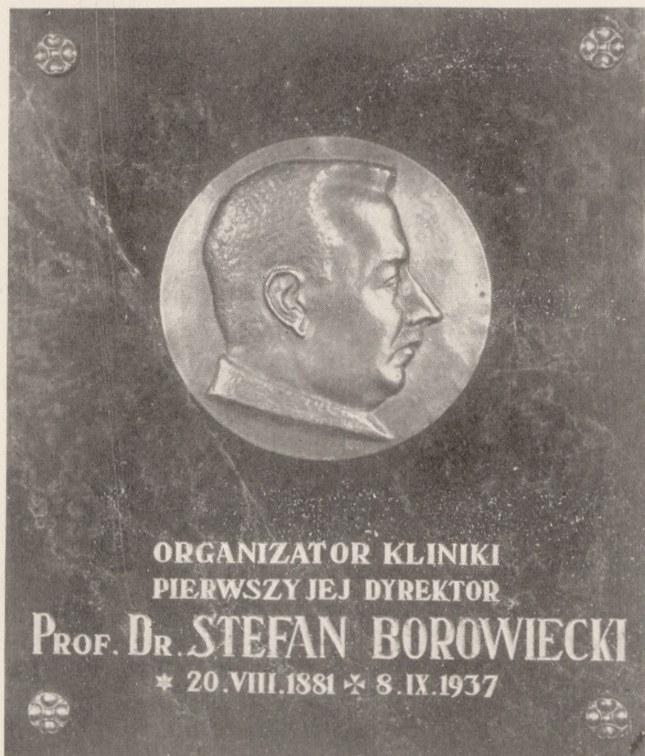
Pułkownik Dr *Mieczysław Naramowski* mówił o działalności Profesora Borowieckiego jako prezesa Poznańskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

Doc. Dr *Anna Gruszecka* w przemówieniu p.t. „Śp. Prof. Dr Stefan Borowiecki jako neurolog" przedstawiła w krótkim zarysie dorobek naukowy Zmarłego w zakresie neurologii klinicznej tudzież w zakresie anatomii i histologii patologicznej układu nerwowego.

Prof. Dr *Stefan Błachowski* wygłosił odczyt pt. „Śp. Profesor Dr Stefan Borowiecki jako psychopatolog".

Uroczysta ta akademia zgromadziła przeszło 300 osób. Przybyli członkowie Rodziny Zmarłego oraz Jego przyjaciele, współpracownicy Jego bliżsi i dalsi, przedstawiciele świata uniwersyteckiego i lekarskiego, wreszcie wiele osób nawet dalej stojących od Zmarłego obecnością swoją dało wyraz swego przywiązania do Osoby Zmarłego.

Po zakończeniu przemówień w Auli Pan Dziekan dokonał odsłonięcia tablicy pamiątkowej, poświęconej Profesorowi Borowieckiemu, umieszczonej w gmachu Kliniki Chorób Nerwowych i Umysłowych w Poznaniu przy ul. Północnej 10.



Medalion umieszczony na tablicy pamiątkowej wykonała parę lat temu *Krystyna Dąbrowska.* Całość tablicy pamiątkowej skomponował *Prof. Jan Wysocki.*

LĘKI SYTUACYJNE PRUSA

podał

STEFAN BOROWIECKI

Znane nam wszystkim zjawisko lęku jest równocześnie, jeśli zastanowimy się nad nim głębiej, zjawiskiem bardzo mało wyjaśnionym i zrozumiałym. Nie mówiąc już o brakach teorii lęku, należy stwierdzić, że sama jego symptomatologia i fenomenologia nie jest dostatecznie opracowana. Niewątpliwie jednym ze źródeł takiego stanu rzeczy jest fakt, że lęk należy do stanów psychicznych, do których się nie przyznajemy, których się wstydzimy i które staramy się opanować. Wynika stąd trudność zdania sobie sprawy z odrębności różnych lęków i ich częstości.

Wybitny i ceniony lekarz warszawski dr *Teodor Dunin* w jednej z prac swoich zaznacza, że obawy chorobliwe w formie zaczątkowej zdarzają się w pewnych warunkach u zupełnie zdrowych ludzi. „Ja sam — pisze tam z godną uznania szczerością — kiedy będąc zmęczony podróżą po raz pierwszy wyszedłem niespodziewanie wieczorem na Plac Zgody w Paryżu, wobec olbrzymiego, pustego placu mocno oświetlonego, z odbijającymi się na bruku asfaltowym, jaki wówczas istniał, światłami latarni, doznałem tak nadzwyczajnego zawrotu głowy, przestrachu i drżenia nóg, iż tylko z największym wysiłkiem woli przeszedłem plac, a przeszedłem go naumyślnie, aby się nie dać opanować trwodze. Był to niewątpliwy i typowy atak obawy przestrzeni (a g o r a p h o b i a), jakiego ani przed tym ani po tym nigdy, przynajmniej w tym stopniu, nie doświadczyłem".

Wyznanie to stwierdza w sposób wyraźny i nie ulegający dzisiaj żadnej wątpliwości węzeł, jaki istnieje między tzw. ludźmi normalnymi a tymi, którzy wykazują wyraźne objawy psychopatyczne czy tzw. nerwicowe. To, co u pierwszych jest tylko zaznaczone, wy-

bija się u drugich na plan pierwszy. Co różni zatem lęk przestrzeni człowieka uważanego za normalnego od lęku człowieka, który tzw. normę już przekroczył i z powodu swoich dolegliwości z nim związanych został uznany za neurotyka? Jest to kwestia z punktu widzenia nauki lekarskiej, a także psychologii, tak wielkiej wagi, że nieocenioną wartość dokumentów przedstawiają dla nas życie i wyznania człowieka, który według powszechnej opinii właśnie na agorafobię cierpiał. Człowiekiem takim był nasz wielki pisarz, nauczyciel i wychowawca narodu Bolesław Prus (Aleksander Głowacki). Każde słowo jego pozostające w mniej lub więcej luźnym związku z lękiem, może posiadać wartość tym większą, że pochodzi od człowieka wielkiego talentu i niezwykle sumiennej obserwacji.

Ktoś może powiedzieć, że więcej od słowa chorego posiada znaczenie to, co lekarz o chorym może powiedzieć, a więc tzw. historia choroby, która w możliwie ścisłej formie podaje obserwację zachowania się chorego, uwzględniając szeroko to co sam o sobie mówi. Jeśli idzie o Prusa, historii jego choroby jednak spisanej przez lekarza nie posiadamy. Paru lekarzy specjalistów, którzy mogli go byli leczyć, już nie żyją *(Flatau, Piltz, Radziwiłłowicz)*, a w spuściźnie ich, jak się informowałem, notatek o Prusie nie znaleziono. Także z żyjących nie udało mi się spotkać lekarza, który by go leczył, a pytałem się niektórych, którzy mogliby tu wchodzić w rachubę.

W braku historii choroby czy jakichkolwiek notatek lekarskich, musimy zatem podjąć próbę rekonstrukcji przebiegu choroby Prusa, zwanej agorafobią, przy pomocy materiałów, jakie dadzą się jeszcze dzisiaj uzyskać. Materiały te mogą być dwojakie. Z jednej strony są to wspomnienia osób żyjących czy nieżyjących, które go znały osobiście, z drugiej strony własne słowa Bolesława Prusa, o ile takie dadzą się z jakichś źródeł uzyskać. Jeśli zadanie takie da się przeprowadzić w dostatecznie szerokich rozmiarach, rekonstrukcja ta jako dokument psychologiczny będzie tym ciekawsza od zwykłej historii choroby, że może nam dać przekroje psychiczne Bolesława Prusa z różnych okresów jego życia i pozwoli zastanowić się nad stosunkiem jego choroby do życia, a więc wejrzeć w stosunki korelacyjne pierwszorzędnego znaczenia dla psychopatologa. Nie będzie to spojrzenie retrospektywne z pojedyńczego okresu życiowego, ale szereg obrazów z różnych epok życiowych, które mogą nas zbliżyć do rzeczywistości psychicznej lepiej niż jakiekolwiek bądź wspomnienia choćby w najlepszej wierze podawane.

Zacznijmy od tego, co nam otoczenie o fobii Prusa przekazało czy jeszcze przekazać może. Jakie były jej objawy? kiedy się zaczęła? kiedy skończyła?

Nie wiemy, kiedy choroba Prusa się rozpoczęła.

Wyjdźmy zatem od faktów najłatwiejszych do ustalenia, a więc od zachowania się Prusa w ostatnich latach życia, i dążmy do ustalenia początków jego choroby przez cofanie się *wstecz ku przeszłości coraz to bardziej odległej*.

Ludwik Włodek w pracy swojej pt. „Bolesław Prus", opisując swe wrażenia osobiste z zetknięcia się z Prusem, podaje, że w latach 1909 i 1910 spotykał go codziennie w redakcji „Tygodnika Illustrowanego". Przychodził tam codziennie na gazety i na krótką pogawędkę około godziny pierwszej po południu. Choroba przestrzeni nie pozwalała mu korzystać z szerokiej frontowej klatki schodowej, wchodził więc po cichu, bocznym wejściem, przez administrację. Poza tym dowiadujemy się od *Włodka* o chorobie przestrzeni przy okazji wyjazdu Prusa za granicę w r. 1895. Choroba ta wówczas miała mu się dawać szczególnie we znaki.

Charakterystyczne i dość ściśle zlokalizowane w czasie wspomnienie o chorobie podaje *Stefan Demby*, dyrektor Biblioteki Narodowej. Sięga ono mniej więcej kwietnia r. 1905 [1]). Grono wybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa polskiego przyjmowało wówczas kiedyś w restauracji Lijewskiego na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie współpracownika gazety rosyjskiej „Birżewyja Wiedomosti" — *Ldowa*, który przyjechał do Warszawy, aby nawiązać kontakt ze społeczeństwem polskim. Na przyjęcie to zaproszono także *Prusa*, któremu *Ldow* złożył między innymi wizytę. *Prus*, który zbliżenie polsko-rosyjskie uważał za pożyteczne dla ówczesnych stosunków polskich, chciał skorzystać z zaproszenia i udał się w oznaczonym czasie do Lijewskiego. Kiedy znalazł się jednak na miejscu w restauracji i musiał wejść na pierwsze piętro, ogarnął go tak silny lęk, że z zamiaru swego zrezygnował i w przyjęciu udziału nie brał. Posłał jedynie kogoś na górę, aby dać znać o swoim przybyciu, a zarazem o niemożności wzięcia udziału w bankiecie z powodu swojej choroby. Dowiedziawszy się o przyjściu *Prusa*, *Ldow* zeszedł do niego na parter, aby się z nim przywitać i zamienić kilka słów.

Jan Lorentowicz, który był w r. 1903 i 1904 sekretarzem redakcji „Kuriera Codziennego", pamięta, jak Bolesław Prus zjawiał się codziennie koło godziny 11-ej przed południem w redakcji „Kuriera Codziennego" na Krakowskim Przedmieściu nr 15 i podaje szczegóły, na które zwraca już uwagę *Włodek*. Z powodu lęków swoich *Prus*

---

[1]) Rozmowa *Ldowa* z Prusem ogłoszona była w „Gońcu Wieczornym" nr 188, z dnia 29.IV. 1905 r.

nie wchodził nigdy dobrze oświetloną klatką schodową od frontu, lecz tylnymi i ciemnymi schodami. Udawał się następnie przez frontową klatkę schodową, na którą bał się wejść od dołu, do przeciwległej redakcji „Tygodnika Illustrowanego", jak mawiał „na ploteczki" do redaktora Ignacego Matuszewskiego, po czym wracał tą samą drogą do redakcji „Kuriera Codziennego" i wychodził. Przychodzenie do redakcji tych, jak mówi *Lorentowicz*, podyktowane było raczej potrzebą osobistą niż konieczno'cią i wynikało z chęci porozmawiania o aktualnych sprawach społecznych i politycznych.

Zwięzłe, ale bardzo charakterystyczne własne słowa Prusa, ilustrujące niektóre objawy jego fobii, mogę zacytować z listu do *Juliana Adolfa Święcickiego i Juliana Ochorowicza*, pisanego do nich z Wisły dn. 22.VI. 1900 r. W liście tym dziękuje Prus Ochorowiczowi za namowę do wyjazdu do Wisły, Święcickiemu za wolne miejsce w wagonie i Żebrowskiemu za ułatwienia, po czym pisze krótko, żartobliwie, a zarazem bardzo rzeczowo: „Ponieważ obyczajem starożytnych Lacedemończyków, całą podróż z Ustrona do Wisły odbyłem z zamkniętymi oczyma, a obecną moją turystowską działalność zamykam w granicach jednego kilometra, niewiele zatem mogę powiedzieć o wszystkich tutejszych pięknościach. W każdym razie jest to okolica niepospolicie ładna i łagodna, nasycona powietrzem czystym i miękkim". A nieco dalej czytamy: „Cóż powiem o nas? Żona jest uszczęśliwiona, Psujak wyrabia się na jednego z największych turystów wszechświatowych (już był podlec na kilku wzgórzach!), a ja — przeszedłem trzy razy „most na Wiśle" (ten za protestanckim kościołem) i obecnie odpoczywam na laurach, pracuję".

W słowach tych zasługuje na podkreślenie z jednej strony niezwykły stosunek Prusa do podróży, z drugiej strony ścieśnienie zakresu jego turystyki do jednego kilometra i trzykrotnego przejścia przez „most na Wiśle". Porównanie siebie z Lacedemończykami nasuwa przypuszczenie, że podróż była dla niego czymś w rodzaju misterium starożytnego, wobec którego oczy winny być zamknięte, które przejmuje go pragnieniem, szacunkiem i czcią, a zarazem trwogą. O ile podróż jest dla Prusa czymś ważnym, wzniosłym i niedostępnym i rolę jej podnosi on i wywyższa nadmiernie, o tyle zachowanie swoje Prus stara się poniżyć, ośmieszyć i przedstawiając w świetle żartobliwym, zestawiając swoje niedołęstwo ze swobodą ruchów swego wychowanka Emila Trembińskiego, którego nazywa zazwyczaj Psujakiem.

Mimo trudności wynikających z terenu Wisły Prus w liście do p.*Święcickiej* z dn. 24.VII. 1900 z Wisły namawia ją, aby tam przyjechała: „Arcywesoło tutaj nie jest — pisze, — raczej nudno, ale za to

znajdzie Pani wielki spokój, którego nam wszystkim sierotom w Warszawie brakuje. Znajdą się też i piękne spacery, gdyż moja Małżonka wybiera się z Psujakiem do źródeł Wisły". Ustęp ostatni każe wnioskować, że tej ostatniej wycieczki Prus z powodu swej fobii nie robił.

Niewiadomo nam dzisiaj dokładnie, jak daleko sięgały istotnie przechadzki Prusa. Z opowiadań *Bogdana Hoffa,* obywatela Wisły, budowniczego willi Ochorowicza, cytowanych przez *Kieresińskiego,* dowiadujemy się, że Prus najczęściej wychodził na przechadzkę, kiedy się już dobrze ściemniło. Mimo piękno krajobrazu, prawdopodobnie z powodu agorafobii swojej, a być może także z innych powodów, do których można między innymi zaliczyć prymitywizm ówczesnej Wisły, ogólne wrażenie, jakie Prus stamtąd wywiózł, było nieszczególne. W karcie pisanej do p. Święcickiego z Krakowa do Szczawnicy dn. 16.VIII. 1900 Prus pisze: „Z Wisły powszechne niezadowolenie". W liście zaś wysłanym do p. Święcickiego z Nałęczowa dn. 17.IX. 1900 czytamy: „Pogoda ładna. A sam Nałęczów, na który Pan tak piorunuje, jest weselszy, bardziej ucywilizowany i nawet *piękniejszy od Wisły...*"

Wzmiankę o agorafobii Prusa, sięgającą nieco wcześniejszych czasów, znajdujemy we wspomnieniach o Bolesławie Prusie *Ludwika Krzywickiego* (Wiadomości Literackie, r. 1932, nr 10). Wspomnienia te przypadają na r. 1896, 1897, może nieco później, ale nie przekraczają lat dziewięćdziesiątych. *Krzywicki* poznał *Prusa* przez *Matuszewskiego.* Drobne zdarzenie związane z chorobą Prusa sprawiło, że wkrótce po poznaniu go stosunki z nim *Krzywickiego* stawały się coraz serdeczniejsze.

„Mianowicie, w parę tygodni później — pisze *Krzywicki* — przechodząc pod filarami Teatru Wielkiego, spostrzegłem wyczekującego tam Prusa. Dla Prusa okazałem się deską zbawienia: uchwycił mnie pod ramię i prosił, ażebym go przeprowadził przez Plac Teatralny, bo sam obawia się przebyć tę przestrzeń. Po raz pierwszy zetknąłem się z jego agorafobią — Prus bał się otwartej przestrzeni. Plac Teatralny, a zwłaszcza plac Zamkowy budziły w nim silny lęk, urągający wszystkim powściągom rozumowanym. I gdy przeprowadzałem go, czułem, iż koło mnie stąpa ktoś bardzo niepewnym krokiem... A niepewność ruchów położyła w tej wędrówce przez plac Teatralny na twarzy Prusa wyraz znamienny, który z biegiem czasu nauczyłem się dostrzegać nawet wtedy, gdy występował na jego obliczu jako niezmiernie leciuchne zadraśnięcie, jako jakiś słabiuchny odcień niezaradności.

„I znajomość nasza urastała w serdeczność po różnych zakątkach i korytarzach warszawskich".

„Ilekroć bowiem odtąd spotykałem go, — a zwykle było to na Krakowskim Przedmieściu, — Prus chwytał mnie za ramię i ciągnął do najbliższej bramy. Źle powiedziałem: nie do najbliższej bramy, ale do najbliżej położonej wąskiej bramy, a zwłaszcza do korytarza, jakie istniały i istnieją dotychczas na tej ulicy. A w korytarzu rzucał zażenowany pytanie: ilu tam nieboraków? To jest: ilu siedzi więźniów politycznych w Cytadeli? Na zakończenie zaś krótkiej zawsze rozmowy do ręki mojej ruchem bardziej zażenowanym wkładał dziesięciorublówkę, a niekiedy i większą kwotę dla „nich".

Może się komuś wydawać dziwnym, że cytuję tutaj szczegóły, które przekraczają opis właściwej agorafobii. Takie ramy dał jej jednak w swym pięknym opisie *Krzywicki*, a wiemy dziś napewno, że nie potrafimy oddzielić agorafobii od osobowości, która dała jej początek. Czytajmy zatem dalej, jak opisuje Prusa *Krzywicki*: „Dziwna to była sytuacja! Prus był wyznawcą jak największego lojalizmu politycznego. Właściwie może nie tyle lojalizmu, piastowanego w głębi serca, ile sfornego zachowania się pod względem politycznym, a natomiast możliwie najrozleglejszego rozszerzania zdobyczy gospodarczych i kulturalnych. Był do szpiku kości przepojony ideologią pracy organicznej i przejęty jednocześnie lękiem, ażeby jakimkolwiek poruszeniem i nawet silniejszym protestem nie wywołać nowej klęski w kraju. Pierwszy jego zatarg z socjalistami był zatargiem pomiędzy tą ideologią pracowitej i cichej sforności a dojrzewającymi dopiero, choć jeszcze niedojrzałymi hasłami walki wszelkiego rodzaju. Socjalizmu jako teorii nie rozumiał i nie lubił, a zwłaszcza stronił od jego haseł bojowych, politycznych. Ale pojmował, iż ludzie siedzący w Cytadeli są ideowcami, którzy w imię swoich przekonań nie cofali się przed więzieniem i zesłaniem, a niekiedy przed śmiercią na szubienicy — szli na śmierć pokolei, jak kamienie rzucane przez Boga na szaniec"... I Prus, przeciwnik jakiejkolwiek walki czynnej z caratem, niechętny socjalizmowi, mający w przeszłości swojej przykre wspomnienie owego zatargu z młodzieżą nietyle socjalistyczną, ile usiłującą dopiero socjalizować, uchylał czoła przed ludźmi niemiłej dla siebie idei właśnie dlatego, że byli ludźmi idei. Słysząc o ciężkim położeniu ich rodzin, śpieszył z pomocą pieniężną, nawet z dużą pomocą jak na jego skromne fundusze. Zdarzało się, iż niejednokrotnie odmawiałem przyjęcia takiego zasiłku od osób, które tym upominkiem chciały zrehabilitować siebie za niezbyt „piękne" pod względem politycznym postępki. Ale od Prusa nigdy nie wahałem się brać pieniędzy na rzecz

więźniów i ich rodzin, — może odmówiłbym świadom jego położenia finansowego, ale nie miałem odwagi tego uczynić. I znowu, jakgdyby to było w chwili gdy to piszę, wypływa przede mną postawa Prusa w tych naszych krótkich pobytach w korytarzach warszawskich: twarz mocno zażenowana, a jednocześnie drgającą rozrzewnieniem, ruchy niezręczne, niemal niezgrabne... wyraz taki oglądałem w paru innych okolicznościach. Ilekroć w rozmowie potrącano czyjąś ciężką sytuację, twarz Prusa wyrażała zakłopotanie, mam wrażenie, że ręka jego sięgała po portmonetkę i może później wręczała coś komuś w jakimś kącie lub korytarzu, o ile można było w danym przypadku pomóc kwotą kilku lub kilkunastu rubli... kwotą znowu poważną na zarobki Prusa, bardzo niezaradnego w swoich stosunkach z redakcjami i wydawcami".

Sądzę, że nie może to być przypadkiem, jeśli w opisie agorafobii Prusa, jaki nam daje *Krzywicki*, dostrzegamy poza agorafobią jego wyjątkową i niezmierną wrażliwość na cudze nieszczęście i wszystko, co się dookoła niego dzieje. Wrażliwość ta jest tak wielka, że sama przez się stać się może niebezpieczeństwem.

Znacznie pełniejszy obraz agorafobii, oparty częściowo także na własnych słowach Prusa, otrzymujemy z czasu jego podróży za granicę w roku 1895.

Podróż za granicę była bez wątpienia gorącym życzeniem Prusa, sięgającym czasów jego młodości. W swych „Kartkach z podróży" z r. 1877, w których Prus opisuje swą podróż do Krakowa i Wieliczki, zaznacza on żartobliwie we wstępie, że już od dzieciństwa uległ „manii wydostania się za granicę i zobaczenia własnymi oczyma: „Paryża, Wezuwiusza i tam dalej", mimo to do tego czasu siedział w jednym miejscu, jak kołek w płocie". W liście do p. Oktawii Żeromskiej, pisanym do Rapperswylu dn. 31.VII. 1894 Prus pisze: „W październiku wybieram się za granicę, już od wielu lat!". Życzenie dłuższego i dalszego wyjazdu za granicę mogło być jednak spełnione dopiero w r. 1895. Poprzednio wyjeżdżał Prus tylko za ówczesną granicę do Krakowa i Galicji w r. 1877, do Zakopanego w r. 1881 i tegoż roku na krótki czas do Wiednia.

Prócz własnych życzeń Prusa przyczyniły się do tego wyjazdu także wpływy zewnętrzne, a więc namowy redaktorów i wydawców pism zainteresowanych działalnością Prusa, a prawdopodobnie także zachęta znajomych i przyjaciół. Wśród pierwszych można wymienić Józefa Wolffa, redaktora i wydawcę „Tygodnika Illustrowanego", Gustawa Gebethnera, — wśród drugich Żeromskich, którzy byli wówczas w Rapperswylu, a zwłaszcza p. Oktawię Żeromską, z którą łą-

czyła Prusa dawna przyjaźń i pod której natchnieniem powstała postać Madzi z „Emancypantek".

Czy wobec chorobliwego wstrętu Prusa do podróży wyjechał on z Warszawy do Berlina sam, dokładnie nie wiadomo. Podobno miał tam wyjechać z kimś znajomym. Czy był nim Gustaw Gebethner, z którym Prus spędzał pierwsze kilka dni w Berlinie, czy kto inny nie wiemy. Według informacyj, udzielonych mi przez *Lorentowicza*, do Paryża ze Szwajcarii Prus przyjechał sam. Tam oczekiwano go na dworcu. Z ostatniego listu Prusa do żony jednak sądząc, pojechał tam w towarzystwie kogoś. O powrocie z Paryża pisze Prus w liście do żony z dn. 30.VIII. 1895: „Są tu młodzi Wolffowie, Józiowie (Józef Wolff, młody) i niby mają jechać 4-go września wieczorem, a ja naturalnie z nimi. Czy stanie się akurat tak — nie wiem"... Czy ten powrót do kraju odbył się jednak istotnie w towarzystwie — nie jest mi wiadome. Także co do innych odcinków podróży zagranicznej Prusa brak nam zupełnie wiadomości dokładniejszych. Z listów Prusa wynika, że był on w Karlsbadzie, Norymberdze i Sztuttgardzie, a także częściowo w Szwajcarii ze swym bratem ciotecznym Wacławem Trembińskim. Czy jeździł on z nim jednak także koleją, a w szczególności, czy przejeżdżał z kimkolwiek Saską Szwajcarię, nie wiemy, a do przejazdu tego odnosi się właśnie następujący, trudny do zrozumienia ustęp z listu do przyjaciela, Juliana Adolfa Święcickiego, ze Sztutgardu z dn. 27.VI. 1895: „Byłem w Dreźnie, przejechałem Saską Szwajcarię (w budce konduktora, nad wagonem, sznelcugiem...)". Być może osoba, która towarzyszyła wówczas temu przejazdowi, o ile jest przy życiu, mogłaby to dziwne i zastanawiające wyrażenie, że przejechał Saską Szwajcarię w budce konduktora, nad wagonem sznelcugiem, wytłumaczyć. Uważam jednak za możliwe a nawet prawdopodobne, że Prus jechał wówczas sam, ale w takim razie zachodzi konieczność bliższego poznania zachowania się Prusa w podróży, a być może ono rzuci nieco światła na to jego powiedzenie. Czy był to żart, polegający na podaniu szczegółu nieprawdopodobnego dla zaznaczenia sukcesów odniesionych w walce z agorafobią, czy też przeciwnie, była to żartobliwa forma ukrycia jakiejś porażki, która go zmusiła do wycofania się ze stanowiska zwykłego pasażera i obserwatora i udania się pod opiekę konduktora? W każdym bądź razie w liście z tego samego dnia i miejsca do żony Prus pisze tylko: „Przejechałem koleją Saską Szwajcarię, istotnie cudny kraj".

W miejscu tym dotykamy po raz drugi tajemnicy dowcipu Prusa, a być może i żartu w ogóle. Żart napomyka coś, co trzeba odgadnąć, czego można się jedynie domyślać. Żart ten jest niejasny, ale fak-

tami nie ulegającymi żadnej wątpliwości i wyraźnie zarysowującymi się w korespondencji Prusa z zagranicy jest chęć opanowania swego lęku, jak i niemożność wyzbycia się go w niektórych sytuacjach, a o nie właśnie wyrażenie to zdaje się potrącać.

Gdyby Prus nie miał chęci opanowania swojej fobii, nie byłby w ogóle wyjeżdżał za granicę. Cała ta podróż była bowiem ustawiczną niemal walką z różnego rodzaju lękami, które ogarniały go w podróży, w górach czy wielkich przestrzeniach. W imię wyciągnięcia z podróży swej korzyści jak największej, zdobycia wiadomości o zagranicy jak najszerszych i najdokładniejszych usiłował on stale przejść nad swoją agorafobią do porządku dziennego i starał się ją bagatelizować. Nowość zetknięcia się z cywilizacją zachodnią w walce tej go podtrzymywała. Wystarcza przytoczyć tu w całości pierwszy list do żony:

Berlin, 17 maja 1895 r.

Najdroższa Laluniu! Za parę dni wyślę list, dziś piszę, aby Cię uspokoić. Pyszny kraj i wybornie znoszę wcale nie małe trudy, jak windy, III-cie piętra itd. Bardzo cieszę się z tej wycieczki. Całuję Was najserdeczniej. Wasz. Al. Friedrichshof, Friedrichstrasse.

Podobnie i dalszą korespondencję Prusa z żoną z zagranicy można rozważać ze stanowiska walki z agorafobią i to walki do pewnego stopnia w pierwszym okresie skutecznej. List drugi z dn. 19 maja przypomina pierwszy: „Ja jestem zdrów — pisze — i zachwycony. Prusy i Berlin zrobiły na mnie silne wrażenie, choć czekam jeszcze na Paryż.

„Ile tu rzeczy dużych i małych, godnych widzenia i naśladowania! Zdaje się, że zbiorę obfity materiał z tej podróży, choć jeszcze biegamy bez ładu i planu".

Także w trzecim liście do żony z dn. 20 maja dominuje nastrój zadowolenia i zachwytu. Prus komunikuje w nim żonie, że był na jakimś placu zabudowanym à la Venezia pt. „Wystawa włoska". Dalej czytamy tam: „Onegdaj zaś byłem, ani mniej ani więcej tylko na... okręcie, na morzu! Jest to panorama tak łudząca, że na widok owego morza w pierwszej chwili cofnąłem się. Wnet jednak opanowany przez widziadło, zapomniałem nie tylko o sobie, ale nawet o moich nerwach".

„Boże mój, cóż to za cudowny widok morze, choć znam je tylko z panoramy! Sto razy czytaliśmy jego opisy i — żaden nie daje najlżejszego pojęcia. Jest to tak nowy świat wrażeń, że naprawdę można tylko uklęknąć, gdyby to godziło się z moim wiekiem.

„Moje złoto! Owa zagranica strasznie mi oczy otwiera. My strasznie jesteśmy biedni i żyjemy jak krety wobec ucywilizowanego świata. Powtarzam Ci: wiedziałem, że zobaczę coś nowego, ale o tylu i takich nowościach nie miałem pojęcia. A dziś o jednym tylko myślę: ażeby, daj Boże za rok, Tobie te cuda pokazać".

Jedyna skarga, jaka się w tym liście znajduje, dotyczy jedzenia („A jakie podłe jedzenie... Eleyson!...").

Już w 4-ym liście pisanym do żony z Berlina dn. 22 maja zaczyna się jednak odzywać coś innego:

„Mój miły Ptaszeczku! Nie stworzył mnie Pan Bóg towarzyskiem zwierzęciem, gdyż dopiero teraz, gdy jestem sam, zaczynam robić się przytomniejszym. Poczciwy sędzia G. (Gustaw Gebethner starszy) tak mi fundował, tak woził, takie robił niespodzianki, że gdyby jeszcze parę dni — uciekłbym z Berlina do Warszawy. W tej chwili piłem herbatę, którą mi darował, lecz mimo to — jestem niewdzięczny. Trudno o dwu ludzi mniej dobranych, jak On i ja. Staruszek mógłby ujeżdżać dzikie konie, ale nie oprowadzać literatów".

„No, ale już dobrze, gdyż jestem sam z moimi myślami. Czasem tęsknię, ale to wnet przechodzi. Zresztą pierwsze na obczyźnie zawsze są takie..."

„Mam pokój (w Charlottenburgu) o 16 schodów nad ulicą, z jednym oknem, które patrzy na ogrody. Cicho mi tu i dobrze, z czego domyślam się, że spokój jest mi potrzebny, jak woda rybie. Powoli oswajam się z otoczeniem kompletnie nowem i już znoszę „zagranicę".

„Mój Boże, inni ludzie uważają ową „zagranicę" za najwyższą przyjemność. Mam zresztą nadzieję, że sama przekonasz się, jaki to smak w pierwszych kilku dniach, kiedy wielkość przytłacza a nowość boli".

Jak widzimy zatem, bywa Prusowi chwilami tęskno, a „zagranica" nie zawsze jest dla niego przyjemnością. W następnych 5-ciu listach (z dn. 28.5., 31.5., 5.6., 8.6. i 12.6. 1895) panuje jednak na ogół spokój, zachwyt i przejęcie się pracą. Pisze, że ma „głowę tak zajętą, że towarzystwo raczej mu przeszkadza". W liście z dn. 31.V. 1895 r. czytamy: „Ogrom ten z początku przytłaczał mnie; dziś już oswoiłem się. Wchodzę na II-gie piętra z otwartemi schodami, przechodzę mosty i — jakoś dobrze. Z czego wnoszę, że w Warszawie poprostu usychałem z braku odpowiedniego zajęcia. Bo i co to jest — ciągle snuć ze siebie, ciągle przerabiać ciągle te same, wcale nie bogate materyały. W takim razie dusza więdnieje. To też dziękuję Bogu za tę podróż, która daje mi bogatych wrażeń całe lasy. Tu też dopiero przekonywam się (niech Cię nie rozśmiesza zarozumiałość) o mo-

jem spostrzegawczem usposobieniu. Nigdym nie myślał nawet, że mogę tyle rzeczy ogarnąć, a zarazem nie pomijać nawet drobiazgów. Niech będą Bogu dzięki".

W następnym liście (z dn. 5.6. 1895) znajdujemy wzmiankę: „Po dawnemu jestem zdrów i zatopiony w pracy; jeżeli nie robię notatek w Muzeach, to na ulicy i, ani wiesz, kiedy mi czas ginie".

Gdy żona robi mu uwagę, że zbyt długo siedzi w Berlinie, odpowiada jej dn. 8.6. 1895: „Ty nie domyślasz się nawet kochanko moja: ile tu jest rzeczy, jak trudno oryentować się i z jaką przetrawia się pracę te nowości. Chyba więc musiałbym bardzo znudzić się (a Berlin niestety jest niemiły), ażeby wyjechać przed rozstrzygnięciem kwestyi. jakie się tu nasuwają. Pamiętaj, że nie jestem „turystą", który w ładnej formie ma podać swoje wrażenia i dowcipnie zakpić z Prusaków, ale — jestem jakby delegat, który musi sprostować wiele błędnych opinij i wskazać czytelnikom rzeczy, o jakich nie mają pojęcia. Zapewne, że nie uda mi się, jakbym pragnął, ale — muszę zrobić, jak potrafię najlepiej".

Wreszcie w liście z dn. 12.6. 1895 pisze: „U mnie ciągle to samo: jestem zdrów i nieco weselszy, a przynajmniej oswajam się z mojem wygnaniem".

Pod koniec pobytu w Berlinie panowanie nad sobą zdaje się słabnąć u Prusa i wyraźnie występuje na jaw tęsknota. W ostatnim liście do żony pisanym w Berlinie dn. 15.6.95 czytamy: „Mówisz, żeś tęskniła w lesie; mój Boże, jakbym ja już chciał nasz las zobaczyć...

„Nie wiele wspominałem Ci, jak mi tu strasznie było tęskno. Czasami myślałem, że zerwę się i wrócę do Was. Dziś już jestem spokojniejszy i już nie draźni mnie nowe otoczenie. Ale przez pierwsze tygodnie!...

„Z Berlina jestem na wyjezdnem, dziś, jutro opuszczam to piękne więzienie i jadę do Drezna, a stamtąd do Wacka, do Karlsbadu...

„W Berlinie już rozejrzałem się. Nie widziałem naturalnie wszystkiego (ba!...) ale już rozumiem stolicę Niemiec. Miasto piękne, za piękne, ale zimne jak lód. Za miljony nie chciałbym tu mieszkać całe życie..."

„W żadnym poważnym teatrze nie byłem tu i nie będę; chowam się na Drezno i z przyjemnością myślę o opuszczeniu Berlina. Tu ludzie są uczciwi, dobrzy i nawet grzeczni, ale chyba mają kamienne serca — taki dziwny ich wygląd i zachowanie. Jest to naród, w którym rozwinęła się myśl i wola ze szkodą uczucia".

„Za to gmachy publiczne — imponują, choć chłodne, a domy prywatne — pałace. Co krok jakiś budynek staroświecki (ratusz w Ka-

zimierzu) albo zamek z wieżyczkami i gotyckiemi oknami. Wszystko zaś tonie wśród pysznych ogrodów, a ja mimo to — zazdroszczę Wam lasu".

W Dreznie samopoczucie Prusa poprawia się, zaznacza się jednak potrzeba wypoczynku. W liście stamtąd do żony z dn. 18.6.95 pisze: „O ile Berlin jest miastem imponującem, przeładowanem pychą, i nowem, o ile odpycha w końcu, o tyle Drezno jest stare, artystyczne i przytulne... co krok widzę podobieństwo do Warszawy, choć rozumie się upiększone..."

„Berlin wyczerpał mnie, Drezno ukoiło. Nadomiar spotkałem tu panią Szymanowską (wdowę po b. profes. Szk. Główn.) z siostrą i synami i z godzinę rozmawiałem z niemi. Jakbym się urodził!"

„Ciężka to rzecz samotność w obcym kraju. W Berlinie ratowała mnie tylko praca...".

„Za parę dni wpadnę do Karlsbadu i jeżeli znajdę taniość i lekką hydropatyję, posiedzę parę tygodni. Muszę nabrać sił i wypocząć".

Podobnie w dobrym nastroju zdaje się Prus pisać dn. 27.6.95 ze Sztuttgardu. W liście tym mowa o przejeździe koleją Saskiej Szwajcarii, o bytności w Karlsbadzie i Norymberdze. „Tęsknota za Warszawą — pisze tam Prus — ...zmniejszyła się we mnie, bo mam towarzysza, a Wacek bardzo dobry i rozsądny chłopak. Ale za to ile goryczy doznaję, patrząc np. na Sztuttgard, który przy 140 tys. ludności ma tyle i takich gmachów, jakich nigdy nie miała półmiljonowa Warszawa".

„Nie masz pojęcia, jacy my jesteśmy nędzarze; tu bodaj kawiarnia miewa większą i ozdobniejszą salę, niż nasza ratuszowa. Tym zaś biedniejsi, że źródło nędzy leży w naszych charakterach. My, my winni jesteśmy, nietylko okoliczności polityczne".

„Obecnie czekam na list od p. Oktawii i — za parę dni wybieramy się do Rapperswylu, gdzie Wacek ma posiedzieć ze 2 tygodnie, a ja — choćby miesiąc.

„Chcę odpocząć, opisać Niemcy i, jeżeli Bóg pozwoli, jechać do Paryża".

„Kiedy hulać, to hulać! Choć czasami bywam tak znudzony i stęskniony, że — już parę razy — zrywałem się z powrotem do Was. Co mi tam obce, piękne kraje bez Was biedaczków".

Z 4 listów pisanych do żony z Rapperswylu w 2 pierwszych znać jakby pewne odprężenie i zwolnienie wysiłku woli, panuje w nich nastrój pogodnego zadowolenia i wypoczynku połączonego z pracą. W liście z dn. 2.7.95 Prus pisze:

„Nareszcie stanąłem w Repperswylu po wielu strachach, gdyż począwszy od Drezna, drogi są prześliczne, ale nie zbyt zgodne z mojem niedołęstwem. Dzięki Bogu jednak wszystko poszło dobrze i wesoło i, jeżelibym kiedy drugi raz jechał tędy, doznawać będę tylko przyjemności. Zresztą przyzwyczajam się i do jazdy po górach i do całkiem nowych widoków i może po powrocie do kraju będę z agorafobji wyleczony. Poprostu zasiedziałem się w naszych równinach".

„Poczciwa Okcia przyjęła mnie tu jak brata: uporządkowała pokój, wynajęła go, a teraz stołuje nas obu. Myślałem, że stanę na głowie, kiedym (pierwszy raz!) zjadł rosół z kartoflami i pierogów z czernicami.

„Mój pokoik (za 2 franki na dobę) ma okno na wschód, na taras) na I piętrze), jak całe nasze mieszkanie, widok na ogrody, ładne domki i wzgórza. Żeromscy mieszkają tu na 3 piętrze, a Wacek w drugim zaraz domu, słowem, czysta Polska...".

„W drodze, z mostu kolejowego, widziałem wodospad Renu. Imponujące zjawisko. Rzeka szeroka jak Wieprz (może szersza), koloru szmaragdu poplamionego szafirem, rzuca się z wysokości kilku pięter między skały i rozbija się na kryształ i srebro. Patrzyłem na to (mimo zawrotnej wysokości) parę sekund, ale obraz ten wciąż widzę".

W drugim liście z Rapperswylu z dn. 14.7.95 czytamy: „Ja — wypoczywam, ale swoją drogą z Rappers. zebrałem 180 notat, a wszystkich mam około 1300-tu".

„Wacek przez 8 dni był w głębi gór, na co ja ani myślę puszczać się. Pani Oktawja czuwa nademną jak bóstwo i gotuje wyborne barszcze. Zajęta od rana do nocy jako pokojówka, kucharka, szwaczka, a małe Henia chodzi na targ...".

Dalej opisuje Prus ludzi w Szwajcarii, dzieci i domy, po czym dodaje: „O Boże, gdyby mi się udało opisać wszystko, com widział i zanotował, podróż moja przyniosłaby wielką korzyść ogółowi".

Z trzeciego listu z Rapperswylu z dn. 26.7.95 wynika, że Prus zasięgał porady *Piltza*. Pisze o tym tak: „Pamiętasz, co miałem z nerwami? zalecano mi kąpiele i brom, ale dopiero w Szwajcarii lekarz Polak (przyrodni brat *Piltza)* kazał mi:

1-o zarzucić papierosy, piwo, wódkę, herbatę i t. p.

2-o na obawę wysokości leczyć się hipnotyzmem, który podobne choroby usuwać ma radykalnie.

1-ą receptę już wykonałem: od dwóch tygodni nie palę i nie piję i istotnie jestem zdrowszy, spokojniejszy i równiejszy. Co się tyczy hipnotyzmu, napisałem do *Ochorowicza*. *Piltz* bowiem kazał mi

jechać do Lipska, do hypnotyzera *D-ra Vogta*, co jest za daleko i gdzie mogę być, chyba wracając z Paryża".

Poza tym w liście tym znowu zaznacza podobnie jak pod koniec pobytu w Berlinie, że tęskni i nudzi się. „Pani Okcia — pisze tam — serdecznie pozdrawia Cię. To dziwna kobieta! Pracuje jak sługa i dozorczyni chorych i — na obczyźnie — ma pyszny humor. Ja jestem nieraz smutny, jak niedźwiedź w klatce. Jej mąż tak samo, a Ona zawsze wesoła. Oczywiście jest szczęśliwa ze swoim Lalusiem (bardzo dobry człowiek) i dzieckiem".

W ostatnim liście z Rapperswylu z dn. 8.7.95 pisze: „Moja złota Laluniu. Mówisz, że czekasz na moje listy, a ja? Ja doczekać się nie mogę, a gdy list przyjdzie — całuję go z radości. Ażeby zaś opędzić się przed tęsknotą, gimnastykuję się, wybieram słówka niemieckie i francuskie, notuję i t. p.... Papierosów 3 tygodnie nia palę i już palić nie będę; to samo ze wszelkiemi spirytusami i narkotykami... Zresztą mam ciszę, spokój i nudy, bo p.p. Żerom. widuję ledwie parę godzin w ciągu dnia. Na spacery dalsze nie chodzę, więc jestem jak w ładnem więzieniu. Ale nerwy moje uspokajają się cudownie i zapewne w Warszawie będą już inne". W dalszym ciągu pisze o innych sprawach, wtrąca jednak uwagę sprzeczną ze wzmianką o „cudownem uspokajaniu się":

„Słowem kraj dziwo, ale tęsknota i agorafobia psuje mi zabawę. Może zresztą i zarzucenie tytoniu wpływa na humor".

Trzy listy pisane przez Prusa do żony z Paryża są tylko wyrazem tęsknoty, zniecierpliwienia i chęci powrotu do kraju. Nic dziwnego, że stan ten nie sprzyjał poznaniu Paryża i że Paryż nie zaimponował mu, nawet rozczarował. W drugim liście z Paryża z dn. 22.7. 1895 czytamy: „W rezultacie popatrzę jeszcze na to i owo, kupię parę książek i w końcu sierpnia, z Bożą pomocą, wracam do domeczku. Wszystko to ładne, piękne, pouczające, ale — nie zastąpi mi Ciebie i naszego kochanego domeczku. Wierz mi, wierz mi, że w domu i w kraju najlepiej. Całuję Ci rączki i nóżki, Psujaka ściskam, wszystkich pozdrawiam. Twój A.

Paryż (napisałem to, ażeby Ci zaimponować)".

Wybrane tu urywki z korespondencji Prusa z żoną w czasie jego przeszło trzymiesięcznego pobytu za granicą, ilustrują w sposób bardzo charakterystyczny jego stan psychiczny. O wiele zwięźlej i dosadniej charakteryzuje go jednak Prus w korespondencji z przyjacielem swoim Julianem Adolfem Święcickim. W liście z dn. 30.5.95 z Charlottenbergu pisze tak o swym zapracowaniu: „Czuję, że strasznie tęskniłbym, gdyby nie wytężona praca, która zresztą wychodzi mi na do-

bre. Czuję, że naprawdę jestem urzędnikiem naszego społeczeństwa, a Berlin jest niewątpliwie jednem z ognisk cywilizacji. Kopalnia, kopalnia, kopalnia". List z dn. 16.6.95 tak przedstawia bilans pobytu w Berlinie: „I otóż w miesiąc po wyjeździe z Warszawy, jestem znowu spakowany do wyjazdu, niestety! nie do Warszawy, ale do Drezna, Sask(iej) Szwajc(arji), Karlsbadu... Pobytu w Berlinie nie żałuję. Czym zmądrzał? nie wiem; to pewne, że czasu nie straciłem. Swoją drogą z radością myślę o wyjeździe. Berlin był dla mnie osobiście wspaniałem i pouczającem — więzieniem. Miałem tu lód w sercu i ołów na głowie".

„Może zewsząd wyniosę takie wrażenia?... Może w 47 latach już nieczas „wchodzić w świat?" zobaczymy..."

„Żona moja pisze, że jest dość zadowolona ze swego lasu, a ja zazdroszczę Jej. Mój Boże! tak marnować takie piękne lato..."

„*Zdanie poufne*. Drogi Panie, tylko mi nie zawracajcie głowy, że podróż zagranicę to przyjemność. Jużci odrobię tę pańszczyznę, jak należy i może nieraz ją powtórzę. Ale wierz mi Pan, że to nie jest przyjemność. Człowiek, jak ślimak, cierpi, gdy go wydrą z własnej skorupy".

W liście do Święcickiego ze Stuttgardu z dn. 17.11.95 znajduje się owa dziwna wzmianka o przejeździe Saskiej Szwajcarii w budce konduktora, nad wagonem sznelcugiem, której nie znajdujemy w liście do żony. W liście tym znowu akcentuje Prus przykry charakter niektórych wrażeń za granicą: „Nie masz Pan pojęcia, ile goryczy i bólu nasuwa mi każdy krok między ludźmi ucywilizowanymi. Jesteśmy dzikusy i nędzarze, ale z własnej winy. Tracimy jakiś szczątek dawniejszej kultury, ale nie zdobywamy i nie tworzymy nic. Mam przecie szeroko otwarte oczy i stosy notat. Im więcąej przybywa mi ich, tem jaśniej widzę nasze położenie: naród bez zasobów przeszłych, bez pracy, bez celów, a co gorsza — z najzupełniej fałszywemi pojęciami. Wobec cywilizacji wyglądamy jakbyśmy chodzili na głowach i myśleli na opak".

Wreszcie w liście do państwa Święcickich z Paryża z dn. 27.7. 1895 r. czytamy: „Nie pisałem dotychczas, gdyż poprostu byłem zgnębiony, jużto przez agorafobję, do której jest dosyć materyjałów, jużto — przez tęsknotę za krajem, która od 3-ch miesięcy jest we mnie panującem uczuciem.

To też jak z początku chciałem wszystkich zasypywać listami, tak później pisanie listu do kraju było dla mnie męką, bo przypominało mi, że tam nie jestem.

Nie, ja nigdy nie będę podróżnikiem, gdyż zadużo mam już nie ludzkiego, ale zwierzęcego przywiązania do moich kątów. I zdaje mi się, że wolałbym nędzę tam, aniżeli rotszyldowski majątek zagranicą.

Ale dziś, Bogu dzięki, jestem trochę spokojniejszy, gdyż około 1.9. wracam. I nie prędko wybiorę się poraz drugi!".

Jeśli zastanowimy się teraz nad wartością cytowanych tu urywków z korespondencji Prusa jako dokumentów psychologicznych i psychopatologicznych, to musimy przede wszystkim podkreślić fakt istnienia u Prusa wielkiej rozterki wewnętrznej — konfliktu — albo, jak można powiedzieć inaczej, niezgodności z samym sobą. Podróż zagraniczna Prusa wydobywa na jaw wielką rozbieżność jego pragnień, właściwą tego rodzaju neurotykom, a zazwyczaj trudną do wykazania w sposób jasny i szerszy, w sposób niemal eksperymentalny. Niewątpliwie każdy człowiek udający się w podróż przeżywa skalę odmiennych i sprzecznych nastawień i uczuć: od chęci wydobycia się z codziennego, znanego sobie otoczenia czy poczucia tej czy innej konieczności wyjazdu, aż do zaspokojenia swych pragnień, zmęczenia, znużenia i chęci powrotu. U Prusa te dwie sprzeczne tendencje występują jednak z nie spotykaną u większości ludzi wyrazistością i znajdują swój wyraz niemal równoczesny. Zwłaszcza w sposób treściwy i jasny rozterka wewnętrzna Prusa występuje w urywkach z listów do Święcickiego. Listy te są, jeśli można tak powiedzieć, przeciętną stanów psychicznych, doznawanych przez Prusa w czasie jego podróży za granicą. Zdają się one świadczyć, że walczył on ze sobą przez cały czas swego pobytu poza krajem.

Urywki z listów do Święcickiego nie dają nam jednak obrazu wahań samopoczucia Prusa w czasie podróży, które wyłaniają się z korespondencji jego z żoną w sposób jasny i daleko szerszy. Wprawdzie rozterka psychiczna towarzyszyła Prusowi stale za granicą, stopień tej rozterki bywał jednak różny i chwilami dawała się ona opanować w dość znacznej mierze. W listach do żony znajdujemy świadectwo tego opanowania w spotykanych tam od czasu do czasu prostych i bezpośrednich słowach zadowolenia z powodu wyjazdu czy zachwytu których prawie że nie napróżno szukamy w listach do Święcickiego. Zaznaczają się one jedynie w liście ze Stuttgardu z dn. 27.6. 1895. Z listów Prusa do p. Głowackiej widzimy jasno, że na początku podróży chęć widzenia i nauczenia się za granicą jak najwięcej jest mocniejsza od przywiązania do kraju i do rodziny. Tęsknota do kraju dręczy go już w Berlinie, walczy on z nią jednak skutecznie i tłumi ją. To samo mniej więcej przebija w listach z Drezna, Stutgardu i pierwszych listach z Rapperswylu. Pod koniec pobytu w Szwajcarii tęsknota jego zwiększa się, nie przeszkadza mu to jednak wyjechać do Pa-

ryża. W Paryżu chęć zdobycia za granicą wiedzy i mądrości ustępuje wreszcie, jak Prus powiada, „nie ludzkiemu, ale zwierzęcemu przywiązaniu do swoich kątów". Wraz ze wzmaganiem się tęsknoty do kraju i niemożnością panowania nad nią, coraz to wyraźniej zarysowuje się rozterka psychiczna i zwiększa się agorafobia.

Jeśli teraz spojrzymy na stan psychiczny Prusa w czasie jego podróży zagranicznej nie z punktu widzenia możności zapanowania nad agorafobią, a z punktu widzenia porażek odniesionych w walce z nią, to musimy przede wszystkim zauważyć, że wykazanie ich w sposób możliwie 5cisły i konkretny jest bardzo trudne. Prus cieszy się niekiedy z sukcesów w walce z agorafobią, mało jednak daje ich konkretnych przykładów, tym bardziej nie znajdujemy w jego korespondencji żadnych wyraźnych wzmianek o porażkach. Porażki te musimy zatem raczej sami wywnioskować z jego korespondencji, albo też starać się ustalić je na podstawie wiadomości zaczerpniętych z innych źródeł. W listach do Święcickiego dominuje raczej nastrój cichej rezygnacji z całkowitego zwycięstwa nad chorobą i jakieś poczucie konieczności współżycia ze swoją fobią. Wyraźnie pod wpływem wzmożenia się chorobliwego stanu, został, jak się zdaje, przedłużony pobyt w Rapperswylu, a napewno skrócony pobyt w Paryżu i przyśpieszony powrót do kraju. Niewątpliwie też agorafobia zwężała swobodę ruchów Prusa i zakres przedmiotów, które były mu dostępne. Nie wiemy, czy Prus był za granicą w którymś z teatrów. W liście z Berlina z dn. 15.6.1895 czytamy: „w żadnym poważnym teatrze nie byłem i nie będę; chowam się na Drezno...". A dn. 14.7.1895 pisał: „Wacek przez 8 dni był w głębi gór, na co ja ani myślę puszczać się".

W urywkach listów Prusa do p. Oktawii Żeromskiej, ogłoszonych przez *Stanisława Piołun-Noyszewskiego*, znajdujemy w liście, w którym pisze o swym zamiarze przyjazdu do Rapperswylu, następujący ustęp, odnoszący się do jego fobii: „Czy kraj ten nie jest poprzecinany przepaściami, najeżony skałami i t. d., gdyż do tych rzeczy muszę się zwolna przyzwyczajać, chociaż, zdaje mi się, że najgorsze już minęło i moja agorafobia nieco zmniejsza się". O wiele ważniejszy jest dla nas jednak urywek listu z dn. 26.6.1895: „I oto jestem w Stuttgarcie, mieście tak spokojnem, że w hotelu długo trzeba czekać na pióro i atrament. Jadę — niby to — do Rapperswylu, ale czy zajadę?.. Jestem znów chory na „wysokości" i ciągle morduje mię idea wysoko położonych dróg, długich mostów i t. d. Sądzę, że po kilkodniowym odpoczynku w Stutgarcie strachy te osłabną. Ale byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdybym nie znalazł w Rapperswylu warunków, dających mi geometryczny, czy topograficzny spokój. Dlatego jedzie do Pań-

stwa naprzód mój brat cioteczny, Wacław Trembiński, który chce poznać Szwajcarię, mając główną kwaterę w Rapperswylu. On to obejrzy miejscowość i doniesie mi, czy dobra dla mnie, gdyż będąc ze mną w Karlsbadzie, Norymberdze i Stutgarcie, poznał już moje interesujące gusta. Powtóre, proszę Panią — czy nie możnaby się dostać do Was, omijając Zurich, do którego nie mam przekonania? Czy nie mógłbym np. jechać z Wintertur na Derlikon, Uster, Wetzikon, Rüti? Bo czuję, że jadąc przez Zurich na Thailweil, Horgen, Richtersweil i Pfäffikon — musiałbym z 1½ godziny jechać z zamkniętemi oczyma z powodu malowniczego jeziora i wysokiej drogi. Wychwala Pani „etykę szwajcarską". Biada mi! bo już chyba tamtejszy konduktor nie przyjmie marki, czy franka, aby mi dał oddzielny przedział w wagonie". Cytata ostatnia odpowiada z jednej strony temu, co pisał Prus o swej podróży późniejszej z Ustronia do Wisły, z drugiej łączy się być może jakoś pośrednio z podkreśloną już wzmianką *Prusa* o przejeździe Saskiej Szwajcarii „w budce konduktora, nad wagonem, sznelcugiem". W jakim stopniu mamy tu do czynienia z drwinami z samego siebie, w jakim z rzeczywistością, powiedzieć nie możemy. Nie wiem, czy uda nam się wykryć więcej śladów agorafobii w korespondencji Prusa, jakkolwiek pisze on do Święcickiego, że jest do niej materiałów dosyć. Zanim się to jednak stanie, skazani jesteśmy na posługiwanie się wiadomościami osiągniętymi z innych źródeł.

Piołun-Noyszewski pisze, że wielką przykrością było dla Prusa niepodobieństwo zwiedzenia muzeum w Rapperswylu, którego Żeromski był bibliotekarzem. W ciągu całego 6-tygodniowego pobytu w Rapperswylu codziennie miał sobie to postanawiać, ale za każdym razem okazywało się to dlań niemożliwością. Prus lękał się wysokich schodów, a na wzgórze zamkowe w Rapperswylu, gdzie znajdowało się muzeum, takie właśnie fatalne dla niego schody prowadziły.

Bystroń podaje, że Prus nie mógł przejść ani też przejechać przez most na Sekwanie i wyjechał z Paryża, nie zobaczywszy Quartier Latin. Podobnie u *Lorentowicza*, który poznał Prusa w Paryżu, znajdujemy wiadomość, że obawa przestrzeni Prusa sprawiła, że zobaczył on tylko jedną stronę Paryża, a mianowicie ulice, znajdujące się na prawym brzegu Sekwany.

Lorentowicz opowiada, że kiedyś zaproponowano Prusowi nieco podstępnie przewiezienie go na lewy brzeg Sekwany w sposób, który miał być dla niego najmniej przykry, a mianowicie przez Auteuil. *Prus,* który wystudiował plan Paryża przed tym w czasie pisania „Lalki" i orientował się w mieście z całą swobodą, zawołał z oburzeniem: „W Auteuil? Co? może po tym najwyższym wiadukcie?"

Innym razem dr *Gierszyński*, lekarz osiadły w Paryżu, próbował przewieźć Prusa tramwajem. Wsiadł z nim do tramwaju przy Gare de l'Est i nie powiedział dokąd jadą. Nagle, gdy tramwaj zatrzymał się na Place du Châtelet z dwoma wielkimi gmachami po obu stronach, Prus spojrzał przez swoje ciemno-szafirowe okulary i zapytał się, co to za gmachy. Gdy mu objaśniono, że jeden to teatr Châtelet, a drugi to teatr Sary Bernhardt, powiedział: „ja dalej nie jadę" i wyskoczył z tramwaju.

Wiadomości te zdają się odpowiadać istotnemu stanowi rzeczy. Prus z powodu swej fobii nie mógł poznać dzielnicy położonej na lewym brzegu Sekwany. Dla tego to robi on w swym liście z Paryża, pisanym do żony dn. 22.8.1895 zastrzeżenie: „Budownictwo paryskie, istotnie mizerne, przynajmniej z prawej strony Sekwany". Niemniej na podstawie zebranych przeze mnie świadectw, muszę stwierdzić, że Prus będąc w Paryżu, przejechał przez most na lewy brzeg Sekwany. Stało się to jednak bodaj że raz jeden, wieczorem, w karetce zamkniętej, w towarzystwie znajomej kobiety, jednego z „aniołów", jak często nazywał kobiety, dla których odczuwał sympatię, — p. Heleny Egerowej, siostry p. Lucyny Kotarbińskiej. P. Egerowa namówiła go do pojechania z wizytą do doktorostwa Dłuskich, którzy mieszkali wówczas właśnie na lewym brzegu Sekwany na rue d'Allemagne. Fakt ten opowiedziała mi sama p. Egerowa, a potwierdziła go, jak mi zakomunikowała p. Kotarbińska, p. Dłuska. Przejazd Sekwany miał się odbyć bez żadnych szczególnych objawów.

Jak widzimy zatem, lęk Prusa, jak każdy tego rodzaju lęk, wahał się, stwarzał niespodzianki, których nie można pominąć przy próbie opisania go. Prus przejechał zatem Sekwanę w sposób, który daje się nawiązać do innnych niezwykłych cech zachowania się Prusa, związanych z chorobą, a zachowanych w tradycji osób innych, jak: jazda koleją o ile możności nocą *(Lorentowicz)*, unikanie oświetlonych klatek schodowych *(Włodek, Lorentowicz)*, chodzenie nawet w Nałęczowie po jednej zacienionej alei *(Handelsman)*, a wreszcie zamykanie oczu w czasie podróży, o którym wiemy od samego Prusa. Tak samo w Warszawie, chcąc przedostać się na Pragę, Prus wsiadał do dorożki i przejeżdżał most z zamkniętymi oczyma *(Gruszecka)*. Trafiamy tu na pewien objaw agorafobii Prusa, który nosi wyraźne piętno dostosowywania się do niej czy kompromisowego współżycia z nią. Objaw ten — szukanie osłony nocy lub rodzaj sztucznego jej stwarzania przez zamknięcie oczu przedstawia wyraźne cechy tworu kompromisowego, powstałego z chęci przeciwstawienia się chorobie, zwalczenia jej, a zarazem ulegania jej.

Kompromisowość zachowania się spowodowana przez agorafobię, o której mówimy, była, jak sądzę, jedną z przyczyn zmiennego, nie zawsze dającego się przewidzieć postępowania Prusa. Z niej, jak się zdaje, wynika bardzo często unikanie przez Prusa towarzystwa, a zwłaszcza towarzystwa osób mniej znanych, czuł się bowiem wówczas bardziej skrępowanym i wchodzenie w kompromisy ze swymi lękami stawało się niemożliwe. Jak zaznacza *Lorentowicz*, Prus mimo chorobę przestrzeni nie życzył sobie, aby go po Paryżu oprowadzano. Jakkolwiek obecni wtedy w Paryżu Polacy tłumnie oświadczali gotowość usłużenia mu w czymkolwiek, z pomocy tej nie korzystał. Najczęściej wychodził rankiem i ginął na cały dzień. Gdzie bywał, nie wiadomo. Mieszkał u doktorostwa Zielińskich na pierwszym piętrze przy jednym z największych placów paryskich, a mianowicie przy Place de la Nation w pobliżu rogatki. Chcąc dostać się do środka miasta, Prus nie przechodził przez plac, jak to wszyscy zdrowi robili, lecz obchodził go, idąc pod ścianami. Zachowanie podobne w towarzystwie zwracałoby na niego uwagę, a tego właśnie przy usposobieniu swoim chciał on uniknąć jak najbardziej. Stąd, przypuszczam, pochodzą częściowo skargi Prusa w listach do żony na towarzystwo Gebethnera w Berlinie. W liście do Święcickiego z Berlina z dn. 30.6.1895 znajdujemy w tej samej sprawie charakterystyczne zdanie: „Niech mnie Bóg broni od żywych przewodników: plan i książka wystarczają. A choć po całych dniach nie mówię z nikim, jest mi dobrze... Owszem było mi źle w towarzystwie". Kompromisowe współżycie z agorafobią odosobniało Prusa od otoczenia, zapewniało mu jednak choć częściowe zwycięstwo nad fobią.

W tradycji ustnej odnalazłem jednak dwie ciężkie porażki w walce z agorafobią. Jedną podaje *Lorentowicz*. Będąc w Berlinie, Prus wyskoczyć miał z dorożki, gdy ta wjeżdżała na most, i miał potłuc się przy tym mocno. Stać się to miało w pierwszych tygodniach podróży Prusa. Wiadomości tej udzielił *Lorentowiczowi* dr. *Zieliński* w Paryżu, a dr *Zieliński* dowiedział się o wydarzeniu od samego Prusa. W znanej nam dotychczas korespondencji Prusa o fakcie tym nie ma wzmianki najmniejszej. Nie byłoby to oczywiście przekonywujące, gdyż fakt podobny mógł być rozmyślnie pominięty milczeniem. Analiza listów do żony zdawałaby się raczej przemawiać przeciwko takiej możliwości. Wszystko bowiem w tych pierwszych tygodniach szło Prusowi dość dobrze w opanowywaniu lęków, a jednak słyszymy tu o czymś, co zadaje kłam podobnym twierdzeniom i świadczy o zwycięstwie fobii w jakiejś nieznanej nam dokładnie sytuacji. Nie udało się też znaleźć znikąd potwierdzenia tej wiadomości. Trzeba być jed-

nak niesłychanie ostrożnym w przyjmowaniu i ocenie podobnych informacyj. Wszak opowiedziana nieco inaczej i bardziej dokładnie historia ta niewiele będzie się może różnić od opowiedzianej przez *Lorentowicza* próby przewiezienia Prusa przez Sekwanę tramwajem przez dr *Gierszyńskiego*. Przypadek ten nie przedstawiał się może zatem tak groźnie.

O wiele groźniej przedstawia się wydarzenie opowiedziane mi przez profesora *Jana Mazurkiewicza*, o którym mówił mu Stefan Żeromski. Pewną część drogi przebywał Prus za granicą sam. W pewnej chwili ogarnął go tak silny lęk, że poczuł zupełną niemożliwość dalszej jazdy koleją i nagle na jakiejś małej stacyjce niemieckiej wysiadł. W gwałtownym niepokoju i rozterce, co dalej robić, wysłał do Żeromskiego depeszę z zapytaniem, czy w Rapperswylu są góry i wody, a wkrótce po tym, kiedy w obcym dla niego środowisku w osamotnieniu lęk jego dalej się potęgował, widząc nadjeżdżający pociąg, usiłował rzucić się pod jego koła. W ostatniej chwili odtrącił go brutalnie jakiś posługacz kolejowy, ratując mu w ten sposób życie. Kiedy dowiedziano się przy tej okazji o celu podróży Prusa, wsadzono go do jednego z następnych pociągów zmierzających w tym kierunku i oddano pod opiekę pasażerów pociągu.

Opowiadanie to nie lokalizuje bliżej miejsca, gdzie się to stało. W każdym bądź razie sytuacja stworzona przez agorafobię mogła się w tym przypadku skończyć tragicznie. Całość jej m u t a t i s m u t a n d i s nasuwa na myśl ową bardzo charakterystyczną dla wyobraźni artystycznej Prusa — scenę z „Lalki", kiedy *Wokulski* jedzie nocą z panem Tomaszem Łęckim, z panną Izabelą Łęcką i Starskim do Krakowa i w drodze, podsłuchawszy rozmowę panny Izabeli i Starskiego, wysiada w Skierniewicach i postanawia wracać do Warszawy. W Skierniewicach ogarnia go nagle trwoga i żal, a po tym „głód i żądza śmierci" tak silna, że rzuca się pod koła pociągu na szyny i ratuje go dróżnik Wysocki. Wprawdzie „Lalka" była pisana przez *Prusa* w r. 1887 — 1889. a za granicą był w r. 1895, istnieje zadziwiające podobieństwo reakcyj w obydwu przypadkach. W „Lalce" Prus antycypuje niejako w wyobraźni reakcję, do której sam jest zdolny.

Analizując opowiadanie *Mazurkiewicza*, natrafiamy znowu na przykry brak szczegółów wydarzenia. Korespondencja, którą miałem w ręku, sprawy tej nie porusza ani też nie wyjaśnia. Już w liście do p. Oktawii Żeromskiej z Berlina, a więc przed wyjazdem do Drezna, Saskiej Szwajcarii, Karlsbadu, Norymbergi i Stuttgardu pyta się Prus z humorem o przepaście i skały, podobne pytania stawia także w liście do p. Żeromskiej ze Stuttgardu, a więc bezpośrednio przed wyjazdem

do Szwajcarii. Czyżby więc odgrywał tu pewną rolę lęk przed podróżą do Szwajcarii i możliwy brak wiadomości, o które Prusowi chodziło, i wydarzenie, o którym mowa, miało miejsce w drodze ze Stuttgardu do Szwajcarii? Wobec braku wiadomości, wobec tego, że urywki korespondencji, które tu cytuję, pozwalają wnioskować o stosunku Prusa do warunków terenowych w ogóle, zastanawiałbym się nawet, czy nie stało się to właśnie w czasie przejazdu Saskiej Szwajcarii i czy opowiadanie Mazurkiewicza i Żeromskiego nie mogłoby być czymś w rodzaju klucza do rozumienia owej dziwnej wzmianki o przejeździe Saskiej Szwajcarii w budce konduktora, nad wagonem, sznelcugiem?

Wzmianka ta, od której zacząłem rozpatrywać stan psychiczny Prusa za granicą, ze względu na swój niezrozumiały i tajemniczy stosunek do jego lęku zasługuje na to, aby jej raz jeszcze na zakończenie przeglądu materiałów do agorafobii z podróży zagranicznej Prusa, poświęcić uwagę. Jest to powiedzenie niewątpliwie żartobliwe, którego cechą bardzo istotną jest to, że jest ono w wysokim stopniu wieloznaczne. Z tych więc powodów w żadnym razie nie mogę się zgodzić z *Kieresińskim*, który, omawiając ten urywek z listu Prusa, pisze: „List z 27 czerwca jest pełen zachwytów nad zwiedzonymi krajami i miastami. Aby lepiej zobaczyć okolicę, nacieszyć się krajobrazem, nie zawahał się część podróży przepędzić w budce konduktora nad wagonem. Zapomniał o agorafobii, zapomniał o skłonności swego organizmu do chorób. Górę wziął pisarz"... Interpretacja podobna zdania cytowanego z listu do Święcickiego nie daje wyobrażenia o skomplikowanych, często sprzecznych stanach, przeżywanych przez Prusa, Prus, zdający sobie w dość znacznym stopniu sprawę ze swej rozterki wewnętrznej, pokrywał, jak się zdaje, często swe poczucie niedołęstwa i bezradności dowcipem. Dlatego to, sądzę, że najprościej jest, jak to już zaznaczyłem, przypuścić, że ten przejazd w budce konduktora nad wagonem to żart, w którym chwali się on w sposób nieprawdopodobny ze zwycięstwa odniesionego nad agorafobią. Mówię: „w sposób nieprawdopodobny" trudno bowiem wyobrazić sobie, aby życzenie Prusa dostania się do budki dla lepszego widoku mogło być uwzględnione przez niemiecki personel kolejowy. Chęć posiadania własnego przedziału w podróży zaznacza wprawdzie Prus w cytowanym wyżej liście do p. Żeromskiej z dn. 26.6.1895, nie wiem jednak jak dalece chęć ta zazwyczaj u Prusa sięgała, czy na takim właśnie przedziale, jak budka nad wagonem, Prusowi zależało i czy możliwe byłoby wreszcie porozumienie się w tej sprawie z konduktorem. Jeśli już Prus był istotnie w owej budce konduktora, to skłonny byłbym raczej przypuszczać, że był on zmuszony udać się z powodu swej lo-

bii pod opiekę konduktora, a w takim razie żart ten byłby pokryciem porażki w walce z agorafobią i mógłby jakoś łączyć się z opowiadaniem Żeromskiego i Mazurkiewicza. Tak czy inaczej mamy tu do czynienia przede wszystkim z dokumentem cennym dla wyjaśnienia mechanizmu dowcipu Prusa. W każdym bądź razie nie da się, zdaniem moim, wykluczyć możliwości, że i opowiedziane mi przez Mazurkiewicza wspomnienie Żeromskiego polega na wnioskach opartych na jakimś żartobliwym przedstawieniu fragmentu podróży przez Prusa.

Taki jest obraz agorafobii Prusa w czasie jego podróży zagranicznej w r. 1895 na podstawie materiałów, które udało mi się dotychczas zebrać. Jak z tego wynika, choroba ta była wówczas na tyle wyraźna, że można przypuszczać, iż Prus cierpiał na nią już wtedy od dłuższego czasu. W poszukiwaniu jej bardziej odległych śladów natrafiłem na nie w liście Żeromskiego pisanym w Zakopanem do swej narzeczonej, p. Oktawii z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczowej dn. 28.V. 1892. Pisze tam Żeromski: „Zacząłem wczoraj czytać dziełko Cullera „U wrót obłędu" na przekór pani W., aby tego nie brać do rąk, bo będzie mi się wydawać przy czytaniu, tak jak jej, że jestem wariatem. Nie jestem na tyle imaginacyjny, chociaż obawa przestrzeni troszkę mię zaniepokoiła. Dopiero, gdy umyślnie wszedłem na wysokość kilkudziesięciu metrów nad prostopadle stojącą skałą, uspokoiłem się zupełnie, wyprowadziwszy syntezę z takich przesłanek: doznałem raz strachu przestrzeni, ponieważ znalazłem się w niebezpieczeństwie i owa obawa wynikła z przestrachu chwilowego — i po drugie — obawa przestrzeni nie znaczy jeszcze, że się ma psychozę, jak utrzymuje Cullere — a więc nie jestem „u wrót obłędu". Obawę przestrzeni mają wszyscy, wychodzący na góry po raz pierwszy. Witkiewicz opisuje, że masa osób. zszedłszy z jakiejś niebezpiecznej ścieżki, zaczyna się bać na równinie, a nawet w łóżku. Chorobę rzeczywistej agorafobii leczy podobno w zupełności hydropatia... szkoda, że Prus się co roku nie leczy hydropatią..."

Ale już w r. 1890 musiała być agorafobia Prusa dość ludziom znana, skoro *Aleksander Świętochowski* w swym rozbiorze pism Prusa, drukowanym w 8-miu numerach „Prawdy" tego roku, pod nagłówkiem „Aleksander Głowacki (Bolesław Prus)" mówi: Prus ma bardzo krótki wzrok i podobno doznaje zawrotów głowy na wyżynach. Ta właściwość fizyczna odbija się zadziwiająco w jego umyśle".

Znana działaczka społeczna i literatka p. *Lucyna Kotarbińska*, wdowa po artyście dramatycznym i dyrektorze teatru, której Prus był stałym wielbicielem, twierdzi, że poznała Prusa wkrótce po swoim ślubie, który odbył się 14.10.1884 r. Otóż już wówczas miał Prus cierpieć na swoją chorobę przestrzeni i z trudem wchodził do ówczesnego mieszkania państwa Kotarbińskich na 4-m piętrze przy Nowym Świecie pod nr 7. Kiedy wszedł, zazwyczaj widać było przez czas jakiś niepokój na jego twarzy i w całej postaci. P. *Kotarbińska* przypomina sobie, jak kiedyś Prus po wejściu do ich mieszkania powiedział: „Na czworakach do anioła szedłem". Znowu zatem żart związany ściśle z jego lękiem! Ustalenie rzeczywistego stanu rzeczy związanego z tym żartem jest dziś jednak także bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe. W każdymbądź razie trudno wyrażenie podobne brać dosłownie.

Nie mamy żadnych bardziej szczegółowych wiadomości o fobii Prusa z czasów, których sięga wspomnienie p. Kotarbińskiej. Czy wzmianka w liście Prusa do Erazma Piltza z dn. 23.2.1885 r., że „był trochę chory na dolegliwości mocno ubezwładniające", tej właśnie choroby dotyczyła, nie wiemy.

Stefan Demby pamięta, jak poznał Prusa w mieszkaniu państwa Krausharów przy ul. Senatorskiej w dawnym pałacu Mniszków koło Resursy Kupieckiej na uroczystości, jaką urządzono tam ku uczczeniu Orzeszkowej. Było to w roku 1886 czy 1887. Siedział z nim przy osobnym stoliku, nie przy generalskim stole, jak mówił Prus, i po uroczystości wyszedł z nim razem. Wspólnie odbyli długą drogę (przechodząc także przez plac Teatralny), wzajemnie odprowadzali się i prowadzili rozmowę, która zbliżyła ich i zaprzyjaźniła, ale ani rozmowa ani zachowanie się Prusa nie zdradzało niczym jakichś cech chorobliwych. Być może obraz tego lęku był wówczas zatem inny.

Niektórzy — jak np. *Lorentowicz* — skłonni są łączyć chorobę przestrzeni Prusa z napadem grupy studentów socjalistów na Prusa w r. 1878. Powodem tego napadu był, jak wiadomo felieton Prusa, umieszczony dn. 17.3.1878 w gazecie świątecznej „Nowiny", w którym w sposób ostry krytykował on zachowanie się studentów na odczycie Spasowicza o Polu. Dotychczas brak naszych wiadomości o Prusie z owych czasów jest jednak tak wielki, że łączenie obawy przestrzeni Prusa z napaścią studentów na Placu Grzybowskim, należy uważać za śmiałą i przedwczesną hipotezę.

Dla odtworzenia stanu psychicznego Prusa w latach 1875 — 1887 nie posiadamy wprawdzie dotychczas żadnej korespondencji, mamy jednak do rozporządzenia źródło, które do pewnego stopnia, może je zastąpić, a w każdym razie znakomicie je uzupełnia. Źródło to przedstawiają „Kartki z podróży", które pisywał w r. 1875, 1877, 1878, 1880, 1887 przy okazji różnych podróży i ogłaszał w „Kurierze Warszawskim", a ostatnie w r. 1887 w „Kurierze Codziennym" pt. „Wędrówki po ziemi i niebie". Na cenne źródło to zwrócił moją uwagę *Zygmunt Szweykowski*.

Kartki te mogą być porównywane z korespondencją, ponieważ Prus mówi w nich dość dużo o sobie. O ile korespondencja Prusa nie jest przy tym obfita i z najwcześniejszych lat jego twórczości nie posiadamy jej wcale, o tyle wrażenia jego z podróży dostarczają nam stosunkowo dużo materiału pozwalającego nam zdać sobie sprawę z jego sposobu reagowania i myślenia w bardzo wielu kwestiach.

Odwrotnie niż dotychczas zacznijmy przegląd tych „Kartek z podróży" od lat najwcześniejszych. Otóż już w „Kartach z podróży", drukowanych w 7-miu numerach „Kuriera Warszawskiego" w październiku r. 1875, w których opisuje on swą podróż do Siedlec i do Lublina z racji wybudowania kolei terespolskiej i budowy nadwiślańskiej, znajdujemy dość szeroko omawiany motyw lęku. Jest to przede wszystkim lęk przed katastrofą kolejową i lęk przed wysokością. Lęk ten jest okazją do drwienia z siebie samego i innych. Dla przykładu zacytuję tu parę urywków.

Już wyruszając w podróż, wspomina Prus o wykolejeniu się lokomotywy pod Brześciem „bez wypadku", w kilkanaście dni po otwarciu drogi terespolskiej i o katastrofach pod Mińskiem czy pod Miłosną. Z racji tej pisze: „W tym miejscu wyznać muszę, naturalnie pod największym sekretem, że bez względu na wszelkie pocieszające uwagi, duch mój „tonął w morzu niepokoju" (jak mówią początkujący rymotwórcy). Z natury jestem pesymistą, nie dziw więc, że jadąc koleją, z całą satysfakcją oddawałem się jak najbardziej ponurym rozmyślaniom. — Któż wie (medytowałem), czy na następnej zaraz wiorście nie ma nadpsutej belki, pękniętej szyny, nadwerężonego mostku lub kolosalnego głazu na drodze?... W tej chwili pociąg idzie z szybkością dwu werst na trzy minuty, a jeżeli się nagle zatrzyma!...

— Już wiem co będzie!... Z maszynisty i jego pomocnika zrobi się pekeflejsz, z lokomotywy kilkadziesiąt cetnarów starego żelaztwa... Okrągły mój sąsiad stanie się cieńszym od arkusza najcieńszej

bibułki, a najszczęśliwsi z pasażerów będą mieli porozmiażdżane głowy, połamane ręce i nogi, powybijane zęby...

— A... och!...

Myśląc tak patrzyłem na błoniste łąki i wykarczowane lasy i szepnąłem: — O jakżebym chciał wysiąść i piechotą przypatrywać się katastrofie!...".

Motyw ten staje się przedmiotem rozmowy między pasażerami, a wreszcie kiedy pociąg staje na jakiejś stacji „otyły sąsiad — pisze Prus — wyskoczył z wagonu jak 300-to funtowa bomba z wałowej armaty, ja zaś począłem rozmyślać nad tem, co jest lepsze: czy jechać dalej koleją i przez półtory godziny narażać się na rozbicie, czy też iść piechotą i przez 8 godzin narażać się na zjedzenie przez wilków lub zamordowanie przez okrutnych Podlasiaków. W tej chwili ukazał się okrągły sąsiad. Siadł tak lekko do wagonu, a na twarzy miał tak rozkoszny uśmiech, jak gdyby nigdy nie zastanawiał się nad katastrofami na drogach żelaznych. Szczególny temperament.

— Jakto... jedziesz pan dalej?! — wykrzyknąłem z najwyższem zdziwieniem.

— Jadę panie aż do Kowla! — odparł z najweselszą miną.

— No, jeżeli ty kochanku jedziesz do Kowla — pomyślałem — to już ja mogę chyba zaryzykować do Siedlec!...

Dziwni są ci ludzie otyli. Ja, chudy, miałem ochotę wysiadać tylko wtedy, kiedyśmy jechali, a on tłusty wysiadał tylko wtedy kiedyśmy stali. Okazuje się, że większa lub mniejsza ilość tłuszczu nie tylko wpływa na formę ciała, ale nawet i na konstytucję duchową organizmu!..."

Prus nie waha się w podróży tej wchodzić na piętro budującej się fabryki i zwiedzać restaurowaną katedrę. Myśl o możliwości upadku, zawalenia się katedry czy rusztowania zdaje się go jednak nie opuszczać. Czytamy tam zatem:

„Ważny dla Lublina nabytek stanowi wznosząca się obecnie fabryka maszyn rolniczych p. Wolskiego... wejdźmy na piętro budującego się zakładu.

Widok stąd prześliczny. Tam na pagórkach wznosi się miasto, pamiętające czasy Leszka Czarnego, bliżej łąki, po których jak srebrna wstęga toczy się w licznych zakrętach Bystrzyca; na widnokręgu drzemią ciemnozielone lasy, tuż pod nogami roi się tłum robotników drogi żelaznej, a nad tym wszystkim niebo, obłoki, słońce, ptaki...

Cudny krajobraz! ale ja go nie widziałem. Wchodząc po drabinie na piętro, bałem się aby nie upaść, na piętrze zaś skutkiem roz-

targnienia stałem tyłem odwrócony do tego właśnie okna, przed którym ów zachwycający rozpościerał się widok".

Dalej opisując restaurację katedry w Lublinie, szczególniejszą uwagę poświęca Prus możliwości zawalenia się katedry, o której nikt nie myśli prócz czasu „który dla usunięcia dziur w budynkach wali same budynki". Wreszcie w sposób ironiczny przedstawia on szeroko niebezpieczeństwa zwiedzania katedry i rusztowanie, jakie tam zbudowano. Lęk przed wysokością kryje się tu pod nazwą zawrotu głowy, a więc występuje w postaci nieco zamaskowanej, jaką często będziemy spotykali u Prusa.

„Pewna liczba członków towarzystwa już na samą myśl o wysokościach, na które wdrapywać się należało, doznała tak silnego zawrotu głów, że ich wprost z piwnicy nie można było wyprowadzić. Tak zmniejszony komplet bez żadnego wypadku dosięgnął stóp rusztowania, gdzie znowu jedna ze składowych jego cząstek rozchorowała się na nagniotki, druga zaś na ciasne buty. Pozostali dzięki wzmacniającemu wpływowi piwnicy, zdecydowani byli na wszystko i prawdopodobnie na szczycie rusztowania dokazaliby cudów odwagi i zręczności, gdyby nie to, że żaden z nich (przez uprzejmość dla pozostałych) nie chciał wejść pierwszy na drabinkę. Ta wyrafinowana grzeczność, cechująca ludzi dobrego towarzystwa, zamieniła się wkrótce na wszechstronne wymówki i ogólne niezadowolenie, po czym wszyscy z goryczą w sercu udali się do swych domów i na swoje własne łóżka, gdzie ich znaleziono na drugi dzień w najlepszym zdrowiu i kompletnym ubraniu. Osoby nieobeznane z niespożytością architektury Lubelskiej, mogłyby przypuszczać, że rusztowanie wzniesione w katedrze dla odnowienia jej, samo raczej potrzebowałoby odnowienia, co jest wierutnym fałszem. Ja, który to piszę, a który byłem na szczycie, wyznaję, że nigdy nie widziałem równie imponującej budowli za 450 rs...".

Czyżby zatem Prus mimo swego lęku przestrzeni i wysokości w r. 1875 wchodził istotnie na rusztowanie, którego inni się bali? Napewno tego nie wiemy. W każdym jednak razie zestawiając opisy podobne ze świadectwem pani Oktawii Głowackiej, która zaprzecza, aby Prus miał agorafobię w czasie swego ożenku (w styczniu r. 1875) możemy powiedzieć, że lęk, który tu spotykamy miał inny charakter niż lęk agorafobiczny z lat późniejszych. Lęk ten wydaje nam się bardziej uzasadniony, a zachowanie się Prusa, o ile możemy je sobie na podstawie podobnych opisów odtworzyć, zdawałoby się świadczyć o możliwości opanowania lęku.

Jak dalece już wówczas, kiedy Prus miał lat 28, możliwość wypadku fascynowała jednak jego wyobraźnię, świadczą dalsze żartobliwe rozważania z „Kartek z podróży" do Lublina. „Ludzie zmaterjalizowani, dla których jedyne punkty oparcia stanowią mocne mury i tęgie belki, mogliby sądzić, że gzyms, na którym właściwie opiera się rusztowanie, lada chwila może się zawalić. Ja tak nie powiem: naprzód dla tego, że nie zawalił się dotąd, po wtóre dlatego, że jestem pewny, iż najsilniejszą podporę tego rusztowania stanowi miłosierdzie Boże. W prawdę tę wierzę tak mocno, że gdyby kiedykolwiek nastąpiła katastrofa, tobym przypisał nie lichocie samej budowli, ale ciężarowi grzechów osób, które na rusztowaniu pracują.

Dodać należy, że w czasie mego pobytu w Lublinie, wchodziło się „na górę" po pokładach bez poręczy i po bardzo niespokojnych drabinkach. Sprzeciwia się to wprawdzie przepisom, ale ma i swoją dobrą stronę, kształci bowiem robotników w gimnastyce i przyzwyczaja ich do zimnej krwi i uwagi, bez których nie można być szczęśliwym na tej ziemi".

To samo dowcipkowanie na temat niebezpieczeństw i własnego lęku, który zdaje się jednak nie pozbawiać Prusa w znaczniejszym stopniu swobody ruchów, znajdujemy w „Kartkach z podróży" z sierpnia 1877 r. opisujących jego podróż w Płockie — w okolice Ciechanowa i Przasnysza. Zaraz na początku pisze tam, że w oczekiwaniu pociągu podziwiał z innymi „fizjognomię pełnych wiary w siebie i w trwałość drogi inżynierów". W drodze zauważa Prus, że działanie alkoholu zaznacza się tym, iż droga wydaje się nierówna. „W połowie drogi, pisze tam, nie tyle do Mławy, ile do flaszki, jeden z moich przyjaciół zauważył, że kolej musi być bardzo źle zbudowana, ponieważ niektórzy z nas w czasie biegu pociągu nie mogli się utrzymać na nogach". Po tych uwagach przyjaciela mówi od siebie: „Ponieważ ciekawe to doświadczenie powtarzane było po wiele razy, a zawsze z jednakowym skutkiem, należy więc przypuszczać, że droga istotnie jest nierówna; sądzę jednak, że chropowatości jej są tak niewielkie, że wygładzić je będzie można kośćmi paruset podróżnych".

Dalej mówi tam Prus o zarysowywaniu się mostów z powodu siódmego przykazania i widać pod wpływem wielostronnych rozmyślań o katastrofach wygłasza dowcipne, przenikliwe i na dzisiejsze czasy słuszne twierdzenie, że kolejarz „modli się o śmierć szczęśliwą w znaczeniu kolejowem, to jest o to, aby go zgniótł bufor lub przejechał pociąg pośpieszny".

Oczekiwanie wszelkich możliwych nieszczęść i niepokój występuje tam zwłaszcza wyraźnie w opisie burzy, która go w drodze spo-

tyka. Oto jej obraz: „Jak już miałem honor nadmienić wyżej, za Ciechanowem niebo wypogodziło się, bo też co prawda nie miało powodu zasłaniać chmurami zawstydzonego oblicza, od chwili gdy już przestało patrzeć na tak obrzydliwą mieścinę. Lecz o kilka wiorst dalej pojawiły się obłoki płaczące znowu nad nędzą Przysnysza i to obłoki bardzo dwuznaczne. Z takich kłębów, jak te które wisiały nad głowami naszemi, spada czasem deszcz ulewny, którego potoki unoszą chaty i drzewa, — czasem grad, którego pociski dziurawią blaszane dachy, a często pioruny, które mają zwyczaj uderzać w najbardziej wzniesione punkty.

Chmury szły tak nisko, że ocierały się prawie o koniec parasola... No — zresztą (żeby zachować ścisłość) może były odległe od nas na dwa parasole, a może i na parę set stóp — nie będę się sprzeczał. Jedna z nich z szczególnej formy podobna do kalafioru, z wielkości do Hotelu Europejskiego, a z twardości — do kamienia, unosiła się tuż... tuż nad naszemi kapeluszami. My na prawo — ona na prawo, my na lewo i ona na lewo, my do karczmy i ona... Tym razem została na dworze.

Gdyby tak spadła, rozpuścilibyśmy się w niej, jak kropelka sensu moralnego w ciepłym oceanie Spraw Bieżących, a gdyby z niej piorun wyleciał, myślicie państwo, żeby gdzie trafił?... Może w drzewo?... Ależ na całej drodze kawałka kija nie było. Może w karczmę? Ależ pioruny zawiele mają ambicji na to, żeby tak liche rudery palić. Więc gdzież?... Naturalnie że w naszą bryczkę...

Wyobraź sobie czytelniku, że jedziesz pod osłoną podobnej chmury i oczekujesz pierwszej kropelki deszczu, która ma utorować drogę stu piorunom. Niech cię tylko jeden trafi, a już będziesz miał dosyć. Na ciele twem wystąpi sina pręga, część włosów zostanie osmolona, a druga wyrwana; przedmioty metalowe w kieszeniach ulegną stopieniu. Przy tym kości twoje mogą być pogruchotane, grzbiet rozcięty jak siekierą, krew rozłożona. W najlepszym, ale to w najlepszym razie — piorun może cię nie zabić, tylko ogłuszyć, oślepić, sparaliżować wszystkie członki nie wyłączając języka i — na drobne kawałeczki zniszczyć ubranie tak, że osoby którym składasz pierwszą wizytę zobaczą cię bezwładnego, przez ludzi niesionego i jak świeżo oskrobany chrzan — nagiego.

A co — czy nie ładna perspektywa?... Naturalnie że nie ładna. A co czytelniku — możebyś się nie lękał będąc na mojem miejscu?..."

Z tego samego roku 1877 (z końca października i listopada) i z początku r. 1878 posiadamy „Kartki z podróży" do Krakowa i Wieliczki. Panuje w nich to samo nastawienie Prusa. Znowu wysokość mi-

mo swej grozy nie przeszkadza mu wchodzić na wieże i wzgórza, a lęk, że kopalnia w Wieliczce się zawali, nie uniemożliwia mu odbycia tej podróży do wnętrza ziemi, jak zwiedzanie tej kopalni nazywa, i staje się natchnieniem kilku z najpiękniejszych „Kartek z podróży".

W r. 1878 Prus zwiedza więc katedrę wawelską i przez otwarte okno wieży ogląda okolice Krakowa. „Zwiedziwszy parter i podziemia — pisze w swych „Kartkach" — wspinam się na wieżę kędy wisi słynny dzwon Zygmunt. Wchodzi się tam po 70 mniej więcej stopniach.

Dzwon jest rzeczywiście bardzo wielki: waży bowiem (wedle świadectwa dziadowskiego), 350 centnarów, a porusza go 10 ludzi. Żelazne serce ma ważyć 7 centnarów i jest długie przynajmniej na sążeń. Głosu, jaki olbrzymia ta maszyna wydaje, nie słyszałem, natomiast przez otwarte okno wieży miałem sposobność cieszyć się wcale ładnym widokiem okolic Krakowa".

W tych samych „Kartkach z podróży" pisze *Prus* o wejściu na wieżę Mariacką: „Gdym wieżę (kościoła Marjackiego) oglądał, pokazano mi w celi strażnika okno, wzniesione nad bruk na wysokość szczytu naszej wieży ratuszowej. Tu w r. 1838 strażak nazwiskiem Giętkowski, oparłszy się na spróchniałej desce, spadł i natychmiast życie utracił. Pochowano go pod wieżą, w tym samym miejscu gdzie zmarł. Jestto jedyna legendowa postać, jakich wieża Panny Marji w Paryżu liczy kilka dziesiątków. Przez chwilę myślałem o tem, aby dobrowolnie wyskoczyć z okna i wzbogacić dzieje Krakowa, przypomniawszy sobie jednak, że mam paszport tylko na pół roku, powoli i ostrożnie zeszedłem po koszlawych schodach na dół. Co ja się mam do cudzych interesów mieszać! Co innego gdybym był partją krakowską...". W miejscu tym opis wchodzenia na wieżę nie tylko łączy się u Prusa z dowcipem, ale odsłania pod jego postacią coś, co łączy się niekiedy z obawą przed wysokością, a mianowicie chęć skoczenia z niej.

„Egzaminem ze sztuki wchodzenia na wysokości" nazywa tam Prus wejście na wzgórze św. Bronisławy, a więc na Kopiec Kościuszki. Oto jego opis:

„Proszę sobie wyobrazić arcy-babę, to jest taką straszną babę, którąby się nie pomieściła w żadnym piecu i zdolna była wpędzić do grobu wszystkich europejskich cukierników. Babę tę, o gładkim i spadzistym obwodzie, otacza ślimakowata dróżka, bez śladu barjerek, którędy bez omówień i wykrętów, miałem się dostać na szczyt... Tęsknem okiem zmierzyłem odległość dzielącą mnie najprzód od Krakowa, a później od Warszawy i zacząłem przebierać nogami, ruchu bo-

wiem mego nie ośmielę się nazwać zwyczajnym chodem ludzkimł Wierzcie mi, młodzi przyjaciele, że dla mieszkańców okolic płaskich, trudno jest wstępować na wyżyny sławy, choćby nawet przy pomocy ekonomicznych szczudeł.

Im wyżej lazłem, tem silniej przytulałem się do kopca i tylko obawa c.k. sądów krajowych powstrzymywała mnie od zupełnego wświdrowania się w ścianę. Gdym zaś spojrzał na dół, zakręciło mi się w głowie, tak, żem się ledwie nie rzucił na zębate mury forteczki i nie nadwyrężył tej szacownej własności publicznej. Wreszcie utknąłem w miejscu, gdzie stać było źle, iść dalej trudno, a schodzić nie wypadało, usiadłem więc: był to już bowiem szczyt kopca.

W tej chwili wznosiłem się o 1010 stóp nad morzem Bałtyckiem, a o 360 stóp nad poziomem łagodnych namiętności krakowskich i piwiarni Hawełka. Wiatr południowy wonny i ciepły szeptał niezrozumiałe wieści z Tatrów, których błękitne kontury rozpływały się we mgle poza widnokręgiem. Bliżej gdzie oko dosięgło, rozłożyła się falista i barwna wyżyna krakowska".

Nie tylko jednak przejmuje lękiem i usposabia żartobliwie względem siebie krajobraz górzysty, budzi on także natchnienie twórcze o zabarwieniu odmiennym, które po swojemu nazwałbym patetycznym, którego nie chcę tu bliżej określać, aby nie wkroczyć nie w swoją dziedzinę — w dziedzinę twórczości artystycznej czy krytyki literackiej. Opisuje tam Prus dalej „góry i parowy jako objawy życia ziemi".

„Kraina wzgórków tak podobną jest do piaszczystych Mazowieckich równin, jak piękny obraz do płótna na worki. Okolica jak i ludzie posiadają fizjognomie: jedna jest rozchlapana niby twarz starego mazgaja, inna wyblakła i martwa jak oblicze osoby, którą świat posądza o nieuleczalną głupotę, a jeszcze inna pełna jest bruzd i zmarszczek jak rysy człowieka, który cierpiał i cieszył się, kochał i nienawidził, słowem: czuł życie aż do środka, aż na drugą stronę swojej istoty.

Na Mazowszu ziemia po stworzeniu usnęła, ocean wymył ją i jeszcze piaskiem wysypał, jak karczmę na wielką niedzielę, ale w sąsiedztwie Karpat działo się inaczej. Tu wewnętrzne siły planety wstrząsały i rozsadzały sklepienie piwnic, do których je zamknięto, a fale tych niezmiernych dreszczy rozbiegłszy się po przestrzeni kilku tysięcy mil kwadratowych, skrzepły w formy pagórków i porozdzierały się w parowy.

Teraz jeszcze wskazać można miejsce walk najzaciętszych. Tu grunt nagle wyskoczył jakby od uderzenia pięścią ze spodu, tam ogromny płat ziemi wydął się jakby go olbrzymia głowa dźwignęła,

na ścianach skał znać straszne kły spętanego potwora, a w wąwozach piasek i żwir niby wypluty z paszczy, którą nielitościwie zasypywało przeznaczenie, czy po to aby mękę zwiększyć czy — aby zdławić rychlej...

Dziś na polu tej tragicznej walki, jak zresztą na każdej mogile, zieleni się trawa, uśmiechają kwiaty i tylko płaczą bojaźliwie, kryjące się między roślinami strumienie. Pokonane moce śpią w swych tajemniczych głębiach tak łagodnie, że po nad niemi chodzi już bez obawy człowiek z pługiem i toczy się wygwizdująca lokomotywa.

Któż jednak wie, czy kłęby pary dziś zaprzęgniętej do długiego szeregu wagonów nie wyrzuciły kiedyś tej właśnie góry, którą moje stopy depczą i czy nie mógłby zaświadczyć o tem obłok, przepływający w tej chwili nad szczytem kopca? Życie jest nieśmiertelne, a wyparte z jednego miejsca przenosi się gdzieindziej bez końca".

Czy za tym głębokim i artystycznym ujęciem natury nie można się jednak dopatrywać znowu lęku? Sądzę, że nie tylko można, ale nawet należy. Spojrzenie, które w „barwnej wyżynie krakowskiej" dostrzega walki tragiczne i mogiłę jakichś „pokonanych mocy" kryje w swej głębi niewątpliwie niepokój. Nie dziw zatem, że nieco dalej czytamy rozważania na temat życia ludzkiego i jego sensu. W podtytule tych „Kartek" czytamy następujące słowa: „Nieszczęścia nie stanowią kary, lecz wskazówkę. Solidarność jest prawem natury". Oto kilka urywków z tych rozmyślań.

„Pewnego dnia, na przedmieściu „Wesoła", zauważyłem jakiś dom żółty, obszerny i posępny. Stał on na wzgórzu wśród ogrodu, oddzielonego od ulicy murszejącemi sztachetami. Prócz kilku łóżek prostej i jednostajnej formy, kilku sztuk grubej odzieży leniwie kołyszącej się na sznurach i dwojga ludzi bawiących się tak cicho jakby im chodziło o sekret, obok budowli tej nie było nic więcej.

Tylko opodal w głębi ogrodu, stały, też chodziły zwolna, jakieś bure i sztywne cienie, każdy w innym kierunku, jakby nie przeczuwając nawet, że tuż przy nim znajdują się podobne mu istoty. Wreszcie, jeden z nich zwrócony twarzą w stronę ulicy, flegmatycznym ruchem oddalił się od innych i sunąc wprost przed siebie, jak liść który wiatr popycha, utknął w końcu przy sztachetach nie zdolny cofnąć się ani pójść naprzód.

Patrząc na ten twór dziwny w długim szarym szlafroku i z bezwładnie opuszczonemi rękoma, mimowoli pytałeś: jestże to kobieta czy mężczyzna, młodzieniec czy starzec, — istota ludzka czy pień próchniejącego drzewa? Tak dalece ciężka niemoc zatarła w nim cechy płci i wieku, zgasiła ducha i żywą istotę upodobniła do ruiny.

W jakim celu wśród piękności i majestatu życia posiano ciemnotę, nędzę i choroby? Dla czego miłosierna dłoń Stwórcy chwyta niektórych z pośród nas i wiesza nad otchłanią grobu, w tym pełnym zgrozy położeniu, w którem myśl krzepnie, wola staje się automatyzmem, uczucie bólem, a duma i wiara w siebie — pokornym wyczekiwaniem litości, choćby ze strony najnędzniejszych bliźnich naszych?...

Jak w sferze zjawisk mechanicznych panuje prawo przyciągania się wzajemnego atomów, tak w świecie zjawisk społecznych między jednostkami ludzkiemi obowiązuje wyższa bardziej złożona forma atrakcji: współczucie i braterstwo czyli solidarność. O ile prawo to nie jest wykonywane przez każdego i dla wszystkich, o tyle w życiu społecznym objawiają się fakty chorobliwe i nieszczęsne, — rażące odskoki między indywidualnościami i słabość ogólna.

Choroba obok zdrowia, głód urągający dostatkom, łachmany przy jedwabiach, pejsy obok fryzury, zwierzęca głupota w sąsiedztwie nadludzkiego rozumu, nie stanowią bynajmniej bezmyślnej kary, lecz symptom: że zapisany na dnie serc ludzkich paragraf o braterstwie i współczuciu, został pogwałcony. Im nadużycie jest obszerniejsze, tym objawy gorsze i groźba nieszczęścia większa.

Wspinanie się na wyżyny doskonałości stanowi pracę zbiorową i dla niewspomagających indywiduów niewykonalną. Pokolenie, które wczoraj było wędrowcem i zdobywcą nowych stanowisk, dziś służy za szczebel swoim następcom i jednostka, której przy wyjściu z kolebki podano pomoc i opiekę, dziś innym podawać ją musi. Ofiary składane na rzecz publiczną są jak węgiel ogrzewający lokomotywę postępu, która ciągnie zarówno tych co drożej jak i tych co taniej płacą, a gubi wszystkich, gdy się skutkiem niedbalstwa nagle zatrzyma.

Moralność egoistyczna, która po za obrębem własnego nosa nie widzi nic więcej, jest poprostu dowodem starej jak świat głupoty, nie zaś żadnym nowym filozoficznym wynalazkiem, a usuwanie się od prac ogół mających na celu — podkopywaniem własnego lub swoich dzieci szczęścia. Kto nie dba o szkoły dlatego, że je sam ukończył, o głodnych dlatego, że ma pełny żołądek, o chorych — dlatego, że posiada lekarza z roczną pensją, o kasy zaliczkowe — dlatego, że już własną kasę ogniotrwałą napełnił, ten po upływie kilku lat narzekać będzie na demoralizację i wzdychać do dawnych, lepszych czasów. Nie wiadomo skąd wyrosną mu tuż pod bokiem, nieomal na jego własnej froterowanej posadzce, nieokrzesane gbury — natrętne i bezczelne żebractwo pukać będzie do jego drzwi, — do kasy włamywać się poczną zuchwali złodzieje, a powietrze, którym oddycha, zatrują choroby. Połowę swego złota oddałby wówczas dla usunięcia zatrważają-

cych klęsk społecznych, które niedawno mógł był usunąć ofiarą setnej części swej miedzi.

Tak się kończy walka niekonsekwencji egoizmu z konsekwencją prawa o współczuciu i braterstwie, a wyjątków nie spotykano nigdy.

Dlatego nieomylnym barometrem społecznej wartości człowieka jest gotowość do ofiarowania pomocy innym, a wskaźnikiem dojrzałości ogółu — instytucje, mające na celu zaspokojenie rozmaitych potrzeb ludzkich. Kredyt na dziś i oszczędności na jutro — nauka i zabawa, — dom modlitwy i przytułek w razie nieszczęścia — teatr i szpital i tysiące im podobnych potrzeb i instytucyj, wśród zdrowego ogółu muszą istnieć, interesować wszystkich i rozwijać się jak najpotężniej.

Tym sposobem chory ze szpitala przy ulicy Kopernika, doprowadził nas do pytania jakie też instytucje społeczne istnieją w Krakowie i o ile ogół tamtejszy przyczynia się do ich rozwoju?".

Jak widzimy towarzyszy zatem Prusowi w podróży wspomnienie Warszawy, a zarazem pewna ogólna koncepcja całokształtu życia od kolebki do grobu. Jest w tych rozważaniach nie tylko dydaktyzm i rodzaj kaznodziejstwa, ale przede wszystkim myśl o przeznaczeniu ludzkim. Czyżby nie lęk właśnie, podsuwający wyobrażenia znikomości życia ludzkiego, nastrajał w sposób podobny natchnienie Prusa i wyciskał na nim swe piętno? Myślę znowu, że tak, a opis podróży do Wieliczki i zwiedzania kopalni w Wieliczce, jaki Prus drukuje w „Kurierze Warszawskim" w lutym r. 1878, potwierdza ten wniosek. Opis ten zaczyna się od żartobliwego niepokoju, jaki Prusa ogarnia wobec tego, że kogokolwiek zapytuje w pociągu o kopalnię Wieliczki, nikt jej nie zwiedzał, a wszyscy podróżni, którzy z nim jadą, nie mają zamiaru zwiedzania kopalni. W miarę zbliżania się do zaciekawiającego przedmiotu jakgdyby ciekawość słabła. Przypomina się Prusowi historia paryżanina, namiętnie uczęszczającego na widowisko ścinania głów ludzkich, którego wreszcie samego prowadzono na gilotynę. Zwiedzanie kopalni nazywa on „podróżą do wnętrza ziemi", a „wyobraźnia nasuwa mu żywy obraz wielkiego morza, które ogarniało niegdyś całą Galicję i Lodomerię i zostawiło po sobie niezmierzone pokłady soli".

Przygotowania do zejścia w głąb budzą w nim myśli o znikomości spraw ludzkich: „Wchodzimy do pokoiku na lewo, gdzie damy i mężczyźni otrzymują po czapeczce austriackiej i po płóciennym szlafroczku, posiadającym tę własność, że go w pasie przewiązać można sznurkiem. Skutkiem tej operacji znikają między nami różnice

wieku, stanu i płci, właśnie jak powinno być u ludzi, którzy za chwilę wstąpią w głąb ziemi...".

Prus schodzi po schodach ostatni. — Kto się poniża, podwyższon będzie! — przebiega mu przez myśl. Schodzenie to przedstawia on z humorem a zarazem z powagą w następujący sposób: „Jesteśmy w studni wypełnionej schodami zwiniętymi jak trybuszon. Słyszę łoskot mnóstwa szybkich kroków i kiedy niekiedy na zakręcie potykam się o głowę ostatniego przewodnika, lub cieszę się smutnym blaskiem jego latarni. Świegotowi dam wtórują basy męskie; zresztą jest ciemno jak w piekle. Z początku liczę stopnie, przy sześćdziesiątym którymś tracę jednak rachubę i pytam górnika:

— A daleko jeszcze?

Dobry ten człowiek w odpowiedzi śmieje się gardłowym głosem aktora grającego czarny charakter i pędzi naprzód.

Jedna z dam robi uwagę, że takie bieganie może przyprawić o zawrót głowy. Tymczasem ciemno wciąż, a tam w górze pokład ziemi wzrasta. Już jest gruby na pięć pięter, sześć pięter, siedem pięter... zwykłej miary kamienicznej, a mimo to ciągle idziemy naprzód. Zeszliśmy wreszcie z dziesięciu pięter, lecz jeszcze idziemy.

Przy niepewnym blasku łojówki dostrzegam, że mój sąsiad w śmiertelnej koszuli i skarbowej czapeczce, tam na ziemi zaliczał się do kategorii płci pięknej. Przychodzi mi na myśl prawidło galanterii nakazujące bawić damy, więc pytam:

— Co by też to było, gdyby się teraz kopalnia zawaliła?

— Niechże pan da pokój — odpowiada zmęczona towarzyszka, jak gdyby wypadek podobny zależał ode mnie i moich dobrych chęci.

— Może być i tak, — wtrąca poganiając nas górnik, — jeżeli się Panu Bogu spodoba!...

I westchnął pobożnie.

Mieliśmy już kilkanaście pięter nad głową, skutkiem czego westchnienie górnika spłoszyło mi resztę myśli światowych. Przypomniałem sobie, że i umarli nie leżą w ziemi tak głęboko, jak my jesteśmy obecnie...

— Kaplica św. Antoniego! mówi starszy kornak.

— Kaplica św. Antoniego!... Kaplica św. Antoniego!... Powtarzają za nim głosy nie wiadomo do kogo należące.

Wszystko tu z soli... Tu błagały Boga o pomoc i miłosierdzie ośm pokoleń górników, ludzi, którzy co dzień żegnają wschodzące słońce, niepewni czy powitają zachód!".

Im dalej tym bardziej przycicha w opisie kopalni humor i coraz silniej przebija groza.

„Im dalej i niżej, tem okolica dziksza, jeżeli miejsca te godzi się okolicami nazywać. Korytarze schylają się i wyginają. W posępnych ścianach ich od czasu do czasu spotykasz otwory: nowe ulice tego fantastycznego miasta. Gdy chwilę zatrzymasz się w miejscu, światła maleją, a potem gasną, odgłosy ludzkie milkną i otacza cię ciemność straszliwa. To, co na górze, pod niebem gwiaździstem, choć pochmurnem, jest tylko brakiem światła — tu staje się rzeczą nad wszelki wyraz ponurą. Rzecz ta, w miarę oddalania się świateł i towarzystwa, poczyna zarzucać na ciebie sieci niewidzialne, poczyna oplątywać, dławić, a w końcu przygniatać. W milczeniu pasujesz się z nieugiętym wrogiem, dotykasz ścian wilgotnych, myślisz: „a może ja zbłądzę?" i czujesz, że ciemność wnikła już w głąb twego ciała, nasyca myśl, wypłasza uczucia...".

Podobnie jak w urywku tym występuje wyraźnie niepokojąca myśl o możliwości zbłądzenia, tak dalej obawa zawalenia się kopalni przejmuje wyobraźnię Prusa.

„Wyobraźcie sobie bardzo wielki kościół, w którym jesteście w chwili trzęsienia ziemi. Jego ściany wysokie i grube sklepienia naraz pękają, rozpadają się na potężne, nieforemne kawały, które lecą z góry i z boku, ścigają się, wyprzedzają, aby was zdruzgotać. Nagle jakaś siła powstrzymała je... skamieniały w biegu, lecz patrzą na was tak, jak dziki zwierz gotujący się do skoku. W tem czarnem i olbrzymiem cielsku domyślacie się na chwilę zakrzepłego życia. Tajemnicze wędzidło hamuje wściekłość potwora, lecz gdy go puści!...".

Wrażenia niemocy i nicości, jakich Prus przy zwiedzaniu Wieliczki doznał, prowadzą go do następujących medytacyj na temat życia i śmierci o nastroju religijnym.

„Cząstki tej soli, dziś zbite w masę skamieniałą, odepchnięte od światła i przywalone olbrzymiemi warstwami gliny i piasku, kiedyś przed dziesiątkami, jeżeli nie setkami tysięcy lat, w powszechnem życiu ziemi przyjmowały udział. Niespokojne, nieusypiające w swej ruchliwości fale oceanu, przerzucały je z jednego krańca ziemi na drugi, może muskał je wiatr i pieściły promienie słońca. Nie dość na tem. W tych tęgich bryłach, które dziś z trudnością zwalcza twardy oskar górnika, lub gwałtowne wybuchy dynamitu, pływały i jak mogły używały świata miljardy mikroskopijnych żyjątek.

Biedak taki ledwie się urodził, już się ożenił, jeszcze nie urósł, a już miał być połknięty przez rodzonego syna, który dlatego tylko nie popełnił ojcobójstwa, że mu drobny wzrost na to nie pozwolił. Później obaj tak blisko spokrewnieni ze sobą antagoniści, jedli i pili na co ich stać było, — żyli, żyli i żyli... bodaj czy nie całą godzinę

i nie rozejrzawszy się nawet w swem otoczeniu, przekroczyli szybko tę wąską granicę, jaka ich półsenny byt oddziela od śmierci. Umarli, czy zdechli, bo nie wiem jak powiedzieć, a dziś leżą tu obok siebie, od stu tysięcy lat, miljona lat... może zdziwieni tem co ich spotkało: życiem swojem nędznem i krótkiem jak błyśnięcie iskry wyrzuconej przez komin lokomotywy.

Jeżeli po niezmierzonych otchłaniach nieskończoności przechadza się istota, tyle wyższa od człowieka, o ile wyżsi jesteśmy od mikroskopijnego mięczaka. Jeżeli zawadzi kiedy o ziemię i przeglądając ciche groby, pomyśli o półwiekowej trwałości życia naszego. Jeżeli przejrzy to pasmo nienasyconych żądz, niewykonanych projektów, chwilowych radości i niespełnionych nadziei — zaczynających się krzykiem bólu a kończących — łzami zawodu. Jeżeli zobaczy to wszystko — czy pomyśli wówczas: Po co oni rodzili się i żyli? jak ja myślę w tej godzinie: po co rodził się i żył ów prawie niewidzialny oceanu mieszkaniec? Czem jest hałaśliwe i barwne istnienie nasze, wobec jego przestraszonej i zakłopotanej półegzystencji?... nasze rozległe pomysły, wobec jego półświadomości?... nasze gorące uczucia wobec jego prawie roślinnej obojętności?... nasza duma wielka jak świat, wobec jego pokory tak małej... ach tak małej, że ich całe legjony mieściły się w kropelce wody?...

Któryś — stworzył nikłego mięczaka i w głębi kopalni pozwolił się zadumać nad jego grobem człowiekowi, — zmiłuj się nad obydwoma!...".

Jak dalece refleksje te z myślą o grozie życia i śmierci związane towarzyszą jednak stale Prusowi, świadczy jego uwaga po wydostaniu się z kopalni na powierzchnię ziemi: „Teraz byłem już pewny, że się nic na mnie nie zawali, przynajmniej za wiedzą i upoważnieniem szanownej magistratury". Doznaje on ulgi i czuje się lepiej na powierzchni ziemi, ale ten sam niepokój i pesymizm ukrywa się w złagodzonej postaci w żartobliwym wypowiedzeniu tej uwagi, które mówi, że nigdy niczego w życiu nie można być pewnym.

Jak dalece przejmujących wrażeń doznał Prus przy zwiedzaniu Wieliczki można wnioskować ze zdania zamykającego te „Kartki z podróży" poświęcone Wieliczce: „Gdy dziś przypominam sobie te rzeczy, myślę, że przez trzy godziny miałem sen dziwny, na którego treść złożyły się przedmioty dotychczas nieznane i nieprzeczuwane".

W „Kartkach z podróży" do Puław, drukowanych w „Kurierze Warszawskim" w r. 1878 (prawdopodobnie od września do października), motyw niepokoju przebija w sposób mniej wyrazisty. Zaznajomiwszy się z nim jednak już poprzednio, odnajdziemy go z łatwoś-

cią. Opisując swą podróż do Puław, Prus, jak zawsze, porusza niesłychanie szeroką skalę tematów. Znajdziemy tam charakterystyczne dla niego zdanie: „Świat jest gmachem, którego styl, plan i cel istnienia odgadnąć się da tylko przez ogarnięcie całości. I któż nam winien, że nie dostrzegamy ogółu zagrzebani w rumowisku pojedyńczych cegieł?" Kto tak szeroko ujmuje rzeczywistość, dla tego śmierć, zniszczenie i inne rzeczy przykre nie mogą pozostać poza sferą jego myśli, a jeśli niepokój ogarnia go wobec niektórych zjawisk, znaleźć go musimy także w jego poglądzie na rzeczywistość. To też, rozumiejąc słowo „niepokój" ogólnie i szeroko, dojrzeć go możemy w przeciwstawieniu miasta i przyrody, jakie Prus tam przeprowadza:

„Tłum wrażeń zewnętrznych, spadających na nas w mieście, mąci duszę i robi ją podobną do głębiny, rozkołysanej przez burzę. Zamykasz się, zatykasz uszy, wszystko na nic! na dnie zostaje odmęt. Każdy fakt (a ileż ich jest!) zamiast „podrażniać ośrodki mózgowe", jak mówi fizjologja, rani tylko mózg, który, aby zabliźnić się, innego otoczenia i dłuższego wymaga spoczynku. W końcu gorycz wypełnia cię i wysusza, hałas torturuje. Przyjaciele obojętnieją, w twarzach obcych upatrujesz zdradę, a serca nikczemne olbrzymieją ci w oczach tak, że zdaje ci się, iż podłość wyciekająca z nich wkrótce napełni wszystkie rynsztoki i ulice miasta.

O jakże miło uciekłszy z podobnych zaduchów ocknąć się po tym kłąbem, gdzie nic nie przypomina dni wczorajszych. Duch ucisza się, fale jego opadają i rozlewają się w jedno wielkie zwierciadło, w którem przegląda się niebo, drzewa i ten oto motyl kołyszący się na białych skrzydłach".

Myśl o zniszczeniu nie mąci tu pogodnego obrazu całości: (Ogród puławski) „jest jednak od nich (od ogrodu Botanicznego i Łazienkowskiego) obszerniejszy, więcej urozmaicony i dzikszy; nie ma posągów, a na zdobiących go dziełach ludzkich czuć już wszechmocną dłoń zniszczenia, co mu nieopisanego dodaje uroku". Wsłuchując się w „głosy natury", Prus jakby z sympatią odnosi się do kreta, który „tak sobie obrzydził towarzystwo ludzkie, iż woli żywcem zakopywać się do grobu, aniżeli na własnej skórze dźwigać dowody ciekawości naszej". Młoda osoba, którą opisuje, patrząc na śliczne i grube dęby, mówi: „chciałabym tu leżeć gdy umrę".

Szukając dalej motywu lęku, znajdujemy, że jest on podobnie jak w poprzednich „Kartkach z podróży" przedmiotem żartów i satyrycznych uwag. Tak więc wieśniaczka zapytana przez Prusa, czemu nie przynosi kurcząt od razu katolikom do domów, a oddaje je pośrednikom Żydom, odpowiada:

— Gdzie zaś?... Jedno, że człowiekowi wstyd, a drugie, żebym jeszcze zginęła w tych Puławskach, takie to wielgie".

Prus dodaje od siebie: „Widać, że każdy człowiek musi gdzieś zginąć: warszawiacy w Paryżu, lubliniacy w Warszawie, rudniacy w Puławach, a już paryżanie, jeżeli gdzie, toby chyba w Rudzie zginęli". Prus pokpiwa sobie tu z niebezpieczeństwa, którego lęka się wieśniaczka, fakt zatem, że mówi tu także o pewnego rodzaju lęku.

Z „zawrotem głowy", który niekiedy oznacza u Prusa „lęk przed wysokością", spotykamy się w opisie podróży do Puław także. Drwi on sobie z tego zawrotu głowy również:

„...drożyna idzie ponad wzgórkiem, mającym około dziesięciu stóp wysokości i tak płaskim, że mógłby nań wjechać karawan pierwszej klasy bez zakłopotania nieboszczyka. Ponieważ jednak cioci i jej pieskom przejście to wydaje się bardzo trudnym, młoda osoba więc uważa za niezbędne obdarzyć nieograniczonym zaufaniem łysego wielbiciela swych pełnoletnich wdzięków.

— Czy pan uwierzy, że mi się w głowie kręci? — szepce panna z tkliwym wejrzeniem, czepiając się dosyć kołkowatej ręki dandysa.

Z jej strony był to dziewiczy fortel, który jednak mógł mieć bardzo smutne następstwa, kataralny bowiem posiadacz jej serca sam doznał prawdziwego zawrotu głowy i tym jedynie krzepił swoją odwagę, że Opatrzność dała mu prawe ramię właśnie od strony spadku, nad którym z konieczności musiała iść nadobna jego towarzyszka".

W innym miejscu wplata Prus z okazji chęci zwiedzenia przez panie oranżerii, do której dostać się było można tylko po murowanym łukowym mostku, przeskakującym wąwozik zwany Głęboką Drogą, następujący humorystyczny fragment, wiążący się z lękiem wysokości:

„Pragnąc ukoić niecierpliwość dam, jeden z młodych ludzi opowiada wzruszającą historię, jakby z ballady Szyllera wystrzyżoną. Kiedyś (ja nie wiem kiedy!) przez mostek ten (na półtora piętra nad bruk wzniesiony) przechodził jakiś hrabia w towarzystwie cudnej hrabianki. O czem mówili? któż zgadnie, dość że na środku mostu (punkt najwyższy) piękna hrabianka upuszcza chusteczkę do nosa na Głęboką Drogę...

(Chwila milczenia, młody bowiem człowiek zna efekt antraktów).

— I cóż?... i cóż? — pytają damy.

— Hrabia skoczył za chustką! — konkluduje młody człowiek, kładąc (jako rzetelny demokrata) akcent goryczy na wyrazie: „hrabia".

Śliczne towarzyszki nasze z pod ciemnych rzęs obrzucają wzrokiem stojących obok nich mężczyzn. Najmłodsi mierzą spojrzeniem wysokość mostu, dorośli cofają się w tył, prawdopodobnie dlatego, aby dać miejsce do rozmachu temu, któryby za wyrzuconą chusteczką chciał skoczyć w wąwóz.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis! Piękna to rzecz zaprawdę! skoczyć za chusteczką z piętrowej wysokości (z iluby to pięter obowiązany był skoczyć człowiek, gdyby mu naprzykład tuzin obrusów rzucono?...) piękna to rzecz i... niezdrowa! Szczęściem znajomość anatomji chroni nas od podobnych nadużyć. Skoczysz, rękę albo nogę złamiesz, a może ci jeszcze co w krzyżu pęknie? Miły interes dla połysku czarnych lub niebieskich oczu dostać się do szpitala, ulegać nastawianiu członków, smarowaniu i w końcu — wózkiem do śmierci jeździć na koszt przytułku dla osób dotkniętych paraliżem!

Ach! niezbyt dawno jeszcze, jakiś inny był świat. Ludzie młodsi nie umieli anatomji, za jeden uśmiech gotowi byli skakać z pieca na łeb i w ogóle posiadali jakieś twardsze kości. Za to my mamy rozwagę. Panie żałują puszczać chusteczki na bruk, ażeby się nie powalały, a młodzież zna cenę swego karku i nie narazi go nawet dla sztuki żyrardowskiego płótna. Chociaż dajcie spokój! widziałem i ja takich, którzy potrafiliby skoczyć za chustką, byle nie każdą i w potrzebie tej — rozbić się na maślankę".

Wreszcie lęk przed wypadkiem znajduje swój wyraz w końcowym opisie jazdy łódką, której sternik zbyt żywo przejmował się pannami.

„Młody ten człowiek przy damach poważnych steruje po anielsku, lecz dostawszy się między panny, osobliwie ładne, traci równowagę duchową, i jest poprostu niebezpieczny. Przeklinasz zatem czółno i łachę, dobijasz do brzegu i obiecujesz sobie nie wozić nigdy ani dam, ani dzieci, ani ludzi nie umiejących pływać — przy pomocy sterników, na których zbyt silnie wpływają panieńskie wdzięki.

Świecił tam jeszcze księżyc podówczas; kwakały, kukały, skrzeczały i rzechotały żaby, ale pies by ich słuchał! Czy podobna zachwycać się pięknościami natury, myśląc o tem kogo należy wyciągnąć, jeżeli się czółno wywróci?".

Z lękiem przed wysokością i z drwinami na jego temat spotykamy się też w opisie podróży do Płocka z r. 1880 („Wisłą do Płocka", Kur. Warsz. z d. 10.V. 1880). Znajdujemy tam następujący urywek:

„Chcąc obejrzeć miasto à vol d'oiseau wdrapuję się na dzwonnicę (katedry płockiej) pod dyrekcją małego chłopca. Schody są ciemne i spadziste. Pełzając po nich, przypominam sobie, że o kilkanaście

kroków stąd znajduje się wieża, pamiętna tragicznemi śmierciami rozmaitych osób. Takie wieże stanowią miłą pamiątkę dla miast, a może i dla osób, które w nich zginęły. Imię ich przechodzi od pokolenia do pokolenia.

— Tu — mówi otoczony mrokiem przewodnik — ten i ten zamordowany został przez tego i owego. W sercach słuchaczy budzi się rzewne współczucie, a nadobne panie tulą się do ramion swoich towarzyszy.

A może, za lat sto, jaki przewodnik opowiadać będzie nieistniejącym dziś jeszcze turystom:

— Tu, w tej dzwonnicy, z tego zakrętu schodów zleciał niejaki Bolesław Prus i — kark skręcił!...

O Boże! mówię do siebie — wyprowadź mnie cało z tych wertepów. Ty jeden wiesz że nie jestem próżny i nie mam pretensji, żeby potomność imię moje wspominała ze współczuciem.

Staje na jakiejś bardzo wątpliwej podłodze pod dzwonami. Przez żaluzje ledwie przedzierają się promienie światła, ale okna są nad głową. Przewodnik radzi mi, ażebym się drapał po belkach... Ha, sam los widać chce, żebym był sławnym.

Włażę tedy po ścianie, jak pokraka, ścieram kurz moim pięknym garniturem, wsadzam w okno głowę — i — nic nie widzę... Tylem zyskał, że mi chłopak przyciął palec, otwierając żaluzje.

Wróciliśmy na twardą ziemię.

Podniósłszy głowę do góry, jeszcze raz spojrzałem na niegościnną basztę i pomyślałem:

— A jednak i ja mogłem być sławny!

Kiedy człowiek spokojnie siedzi we własnym domu, we własnym szlafroku i przy własnym biurku, miło mu wspomnieć, że kiedyś i on przymierzał laurowy wieniec! Radzę wszystkim wzdychającym do rozgłosu, ażeby wdrapywali się na rozmaite rudery i próbowali kark skręcić. Da im to przedsmak wielkości".

Opanowania lęku można też dopatrywać się w słowach, w których Prus opisuje wysiadanie ze statku: „„...piszący to wykonywa kilka śmiałych ruchów nogami — i — staje na gruncie gubernialnego miasta Płocka żywy, zdrowy, pełen ufności w miłosierdzie Boże, które karmi ptaszki i lilje polne".

Lęk ten każe też wyróżnić Prusowi na oglądanych wystawach fotografów fotografie straży pożarnej. „Prawdziwe zadowolenie — pisze tam — robią warszawskiemu przybłędzie dwie fotografje członków ochotniczej straży ogniowej. Obaj chłopcy przystojni, w bluzach i kaskach. Patrząc na nich myślisz:

— Mój Boże! żeby się tak Płock zapalił, tobym jego straż zobaczył w ruchu!...

Ale wnet opuszcza cię zła ciekawość". Ta „zła ciekawość" to znowu żart, który zatrąca o to, co czasami łączy się z lękami sytuacyjnymi i posiada cechy pewnych postaci natręctw myślowych.

Poznawszy nastawienie psychiczne Prusa na katastrofy i wypadki wszelkiego rodzaju, nie powinno nas to dziwić, że w drukowanych w „Kurierze Warszawskim" w grudniu r. 1881 „Wspomnieniach Wiednia", w którym był Prus we wrześniu 1881 r., tematem głównym jest pożar Ringteatru i konieczność stworzenia wymusztrowanej służby teatralnej. Prus pisze tam: „Dotychczas teatr traktowano jako miejsce wielkiej rozrywki; zdarzające się zaś katastrofy dowodzą, że może on być miejscem wielkiego niebezpieczeństwa, większego niż te, jakim ulegają pociągi dróg żelaznych. Otóż, jeżeli na żelaznych drogach znajduje się cały korpus ludzi od zapobiegania klęskom, jeżeli są na nich: dróżnicy, zawiadowcy, konduktorzy i nadkonduktorzy, z których trzecia część wystarczyłaby dla administracyjnych celów, reszta zaś czuwa nad bezpieczeństwem, to pytam się, dlaczego tej taktyki nie mogłyby przyjąć teatry?".

Po dłuższej przerwie spotykamy się u Prusa z opisem podróży, jaką odbył w r. 1887 do Mławy dla obserwacji całkowitego zaćmienia słońca, które można było widzieć w Polsce dn. 19.7.1887. Jest to szereg felietonów drukowanych p.t. „Wędrówka po ziemi i niebie" w „Kurierze Codziennym".

Rzecz charakterystyczna, że Prus — tak bardzo skłonny do niepokojów — wybrał się specjalnie z Nałęczowa do Mławy, gdzie spodziewano się lepszych warunków obserwacji, aby móc zjawisko to przeżyć. Doszukując się lęku, odnajdziemy go z łatwością w opisie zjawisk przyrody. Z nastawienia lękowego wyłania się tam jednak szerokie, wysoce artystyczne, indywidualnie odrębne i syntetyczne ujęcie zjawisk świata o cechach metafizycznych, które odnajdujemy już w pewnej mierze poprzednio we wrażeniach z Wieliczki czy szpitala na ulicy Kopernika w Krakowie.

Oto początek tych wrażeń:

„Pytasz, mój przyjacielu, czy widziałem zaćmienie słońca?

Widziałem, i powiem ci, że zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Tak potężne, że chyba nie znajdę spokoju, dopóki nie wygadam się z niego.

...Barwne opisy astronomów — poetów... mnie nie wzruszały. Robi się ciemno, więc ptaki i rośliny idą spać, bydło ucieka w stronę domu, a lud modli się ze strachu. Rzeczy naturalne i proste.

...w miarę jak zbliżał się 19-ty sierpnia, obojętność dla zaćmienia przeradzała się w niepokój. Człowiek nerwowy miał prawo oczekiwać przykrych wrażeń.

Tu jednak przyszło na pomoc wspomnienie, że natura nawet wówczas, gdy przeraża, jeszcze jest piękną i twórczą. Głęboko wstrząsa ona duszę, ale zarazem odnawia ją i przebudowuje. Po każdym takim (niestety! nader rzadkim) wstrząśnieniu, gdy spojrzysz w siebie, znajdziesz jakiś nowy układ wyobrażeń, jakieś nowe źródło uczuć, jakiś nowy punkt widzenia, niby wierzchołek góry, która nagle wyrosła i pozwala spojrzeć na świat trochę pod innym kątem.

Pamiętam, jechałem pierwszy raz do Zakopanego sam z góralem...

Wtem góral zatrzymał wóz...

— Niech wstaną — rzekł — góry. Przetarłem oczy. Wilgotny chłód szczypał jeszcze po twarzy, ale niebo wypogodziło się.

Tu nie ma gór. Jest tylko długa przykra równina, a daleko, aż na końcu południowego horyzontu stoi ciemna, zębata ściana, coś niby chmura, niby las...

Spojrzałem w lunetę. Płaska ściana nabrała wypukłości...

Widok piękny, ale przygnębiający.

Ruszyliśmy dalej. W Zakopanem wszystko znikło...

Ale gdzie góry?... Gór ani śladu. Potężne masy, które o kilka mil stąd przerażały mnie ogromem, gdy zbliżyłem się do nich na kilkaset kroków znikły. Ukryły się w deszczu i tylko instynktownie czułem ich przygnębiającą obecność.

Później miałem okazję nieco bliżej, choć zawsze zdaleka, przypatrywać się górom. Widziałem tylko ścianę Giewontu, który zaczyna się tuż u nóg i nagle wzbija się do nieba tak wysoko, że lękasz się, aby nie upaść na wznak. Widziałem jeziora, z wodą szafirową i srebrną pianą, której przejrzyste głębiny aż ciągną człowieka do siebie. Słuchałem, o tysiąc stóp nad głową, dzwonków pasącego się bydła, z tym wrażeniem, że bydło pospada na mnie, a później wszystkich nas góry zasypią. Widziałem potok wąski na przeskoczenie, który toczył odłamy skał, jak piece i inny potok, który, za pomocą małych kamyków, gryzł skaliste łożysko i wiercił w nim otwory, podobne do skręconych konch ślimaczych, dużych, jak kotły. Przechodziłem ciemne i wilgotne lasy, w których nie odzywał się żaden ptak, ani nawet mucha, tylko nigdy niekończące się warczenie potoków. Ale za to nad Morskim Okiem słyszałem echo, gadające przez kilkanaście sekund, które na ludzki głos odpowiadało grzmotami.

I wszystko, com tu wycierpiał, na com patrzył i czegom słuchał z trwogą — te głuche lasy i gadające skały, płaty ziemi, która wydzierała się ku niebu i zbiorowiska głazów, większe od wszystkich miast świata, powietrze, które skraca odległości i drobny deszczyk, który roztapia w sobie niezmierne łańcuchy wzniesień, wszystkie te zawrotne widoki i przykre niespodzianki, zlazły mi się w jeden obraz tak piękny, że nie ma chyba skarbów, za które możnaby go odstąpić. Dusza rozszerzyła się...

Ta jest główna cecha natury: nietylko goi rany, które zadała, ale jeszcze wynagradza je szczęściem, jakiegośmy nigdy nie oczekiwali".

Jak widzimy, roi się tu od śladów najróżnorodniejszego lęku. Widok gór jest „piękny, ale przygnębiający", góry „przerażają swym ogromem", wobec ściany Giewontu zjawia się lęk, „aby nie upaść na wznak", głębiny jeziora „ciągną człowieka do siebie", odnosi się wrażenie, że bydło pasące się wysoko paspada z wysokości, a góry wszystkich zasypią. Nie będziemy tu rozważali kwestii przebiegu lęków u Prusa ani też nie będziemy ich interpretować; na szczególną uwagę z punktu widzenia tych lęków zasługuje tu fakt, że zaraz dalej, kiedy Prus przechodzi do opisu podróży koleją do Mławy, mowa jest o tym, że wychodzi podczas jazdy na ganek wagonu, aby przed zaćmieniem słońca tym lepiej obejrzeć pola, okolice, niebo i wschód słońca. Za chwilę znowu dusza jego „rozszerza się".

„Nie prawda, że jest tylko jeden świat; są dwa światy: ten i *tamten;* ten, który mamy pod nogami, jest ziemskim, tamten, do którego trzeba podnosić głowę, jest niebem, może nawet tem, o którym mówi katechizm i biblja.

Nie jestże niebo światem duchowym? Wszak wiemy o jego istnieniu tylko za pośrednictwem najbardziej duchowego zmysłu — wzroku. Wszak najprostsze jego tajemnice odkrywamy nie za pomocą eksperymentów, ale najzawikłańszych rozumowań.

Nie jestże duchowym ten niedostępny świat, którego nigdy nie dotknie stopa ludzka? Gdzie człowiek, któryby wydarł się z kajdan ziemskiego przyciągania. Kto i jakim sposobem, zwiedzi tak bliski od nas księżyc, do którego kurjerski pociąg jechaćby musiał przeszło 21 lat? A ile pokoleń ludzkich zmarłoby w ciągu podróży do słońca, do którego ten sam pociąg pędzićby musiał przez lat 350...

...nie jesteśmy w stanie uzmysłowić sobie nawet rozmiarów ziemi. A czemże jest ona przy słońcu?...

Wszystko to jednak są drobiazgi wobec gwiaździstego nieba...

...Słowem — nieba nie możemy sobie *wyobrazić;* przechodzi to wszelkie granice naszych zmysłów. Tworzymy tylko o nim pojęcie za

pomocą symbolicznych rysunków i liczb, których nigdy nikt nie był w stanie zrachować. Jest to więc świat istotnie duchowy, metafizyczny i tylko dla zwyczaju nazywamy go materjalnym.

Trzeba jeszcze dodać, że i w tym niedostępnym i bezmiernym niebie, tkwi źródło wszelkiego życia na ziemi — słońce. Gdyby ono bodaj na tydzień przestało nas ogrzewać, zginęłoby wszystko, co rośnie i rozmnaża się, bez śladu i bez możności odrodzenia się.

„Gdzieżeś był, kiedym Ja zakładał grunty ziemi? Powiedz, jeżeli masz rozum. Możesz — że związać jasne gwiazdy Bab albo związek Orionu rozerwać? I znasz — że porządek nieba? a możesz — że rozrządzać panowanie jego na ziemi?".

Skrzypnęła zasuwa wagonowego przedziału i przez półzamknięte oczy zobaczyłem pana z dużym pakietem w ręku i wypchanymi kieszeniami. Gość obrzucił wzrokiem śpiących, coś połyskującego wydobył z jednej kieszeni i rzekł:

— Kalmusówka...".

W Mławie z pociągu udaje się Prus z innymi dorożką w stronę pagórków.

„Zaczyna mi się robić markotno, pisze, — jakbym jechał na przypatrywanie się egzekucji... Markotno, ach! jak markotno...

— No, nie bądźże w końcu śmieszny — mówię sam do siebie. Co w tym nadzwyczajnego? Księżyc stanie naprzeciw słońca i rzuci cień, jak rzuca cień drzewo, budynek, wreszcie każdy z nas. A że w tej chwili księżyc znajduje się od ziemi o 48 tysięcy mil, więc nas dosięgnie. Co masz pozować na sentymentalnego, taki stary chłop? Zostaw to pannom, potrzebującym wyjść za mąż.

Po wilgotnym, trochę zapadającym się piasku, wchodzimy na pagórek, gdzie już stoi kilkaset osób. To samo towarzystwo, które wczoraj w pociągu i w restauracji huczało, jak burza, tu, choć jeszcze słońce nie weszło, zachowuje się tak spokojnie, jakby w polu stał ołtarz i miało odprawiać się nabożeństwo. Widać nie mnie jednemu markotno.

Nagle coś drgnęło na niebie i na ziemi, i cały horyzont odrobinę ściemniał. Prawdopodobnie nadpłynął jakiś obłok. Ale umysły tak były nastrojone, że dopiero od tego momentu uczuliśmy się pod moralnym wpływem wielkiego zjawiska.

Nie wiem, czego doświadczyli inni. Ja osobiście nie doznawałem żadnej przykrości, tylkom spostrzegł, że wyobraźnia poczyna grać silniej niż zwykle i — że czas mi się rozszerza. Jedna sekunda rozrastała się na dwie, trzy, cztery... tak, że kiedym myślał, iż upływa minuta, upłynęło naprawdę 10 lub 15 sekund. Zegarek można było jesz-

cze doskonale odczytywać. Obłoczki w zachodniej wyrwie były wciąż białe. Dwa pieski goniły się, pełne wesołego nastroju ducha, kot siedział przed chatą...

Nie wiem, czym gdzieś to czytał, możem widział obraz, a może mi się tylko śniło, ale w tej porze przyszła mi na myśl jakaś olbrzymia kobieta, klęcząca, w szarym płaszczu, z twarzą zamyśloną i nad wszelki wyraz spokojną. Zdawało mi się, że patrzę na tę kobietę i że widzę, jak długie rzęsy powoli, ale coraz głębiej, zasłaniają jej oczy i jak ona coraz niżej pochyla się, a na jej oblicze pada cień coraz mocniejszy.

Dla czego ona pochyla się?... Dla czego tak przysłania oczy?... Dla czego badacze nie biorą na zaćmienia ludzi ślepych, ażeby zobaczyć, jaki wpływ na nich wywiera to zjawisko?...

Zastanawiał mnie nadzwyczajny spokój w duszy i brak wszelkich pragnień. Będzie zaćmienie całkowite, czy nie będzie — wszystko mi jedno. Podobno zażycie morfiny ma napełniać ludzi bardzo wielkim spokojem. Większego jednak niż obecny nie spodziewam się poznać.

Drugie drgnienie... Pociemniało jeszcze bardziej, lecz mimo to ciemność posuwa się dalej, jak minutowa wskazówka. Białe obłoczki na zachodzie trochę pożółkły, wiatrak zatrzymano, jeden pies uciekł, ale drugi jest kontent i za siebie i za niego... Do zupełnego zaćmienia brakuje kilka minut.

— Prawdopodobnie taki stopień ciemności zobaczą w Warszawie, nie większą. Mówię to, ażeby się uspokoić, gdyż ogarnia mnie niepokój. Chodzę, siadam, przypatruję się niebu i ludziom na tamtym wzgórzu, lecz nie mogę sobie znaleźć miejsca ani rozrywki. Nie jest to strach, jest raczej świadomość jakiegoś rozbratu między myślą i uczuciami. Skąd ten niepokój? czy z zaćmienia?... Ależ takie zaćmienie można widzieć przed każdą burzą, która w tej chwili nie grozi. Czy niebezpieczeństwo?... Niebezpieczeństwa nie ma, to chyba zrozumie każde dziecko.

Więc co mnie dręczy? Oto, w świecie czuję brak odpowiednich współistnień, dysharmonię, a w umyśle — brak odpowiednich definicyj. Jest niby ciemno, a jednak wszystko widać; jest mrok burzowy, lecz obłoki nie mają burzowego wyglądu. Oczy moje coś widzą, ale ja nie umiem tego określić. Brak mi nawet porównań. Tylko wielki żal, który rozpiera mi serce, może znaleźć porównanie. Gdyby konający widział własną twarz, jak mu stopniowo blednie, sinieje, wreszcie szarzeje, doznałby zapewne tego smutku, jaki się ma patrząc na stopniowe zamieranie światła.

A jednocześnie czujesz inny żal: że ten widok, skończy się tak prędko!

Wtem nowe drgnienie... Na rude obłoczki padła delikatna sadza, sklepienie chmur pochyliło się w sposób widoczny, jakby przysiadło; damy zakończyły rozmowę szeptem...

— Zaćmienie...

Już nie widzę sekundnika na zegarku, ręce mi dygocą, jakbym komu wygrażał.

Zapalam jedną zapałkę, drugą... obie gasi wiatr. Daję za wygraną sekundom, binutom, barwom; wszystko leci mi z rąk, nie wiem na co pierwej patrzeć.

Lecz w takich razach człowiek prędko się opanowuje. Otóż i ja jestem świadkiem zaćmienia zupełnego. P. Węgliński przylepił ucho do zegarka i liczy sekundy. Uciekający z pagórka na dół do chaty stanęli i stoją sznurem po dwu, po trzech... Konie spokojne; młynarka zapala w izbie lampę z kloszem, której światło jest czyste, białe. Nagle widzę, że kot wdrapuje się na futrynę drzwi wchodowych, jakby go kto gonił.

— Gdzie piesek?

— Sobaczka spriatałaś... odpowiada cicho oficer.

Znowu czuję spokój, ale z odcieniem nieopisanego żalu; jeżeli zbawieni mogą się smucić w niebie, to chyba w taki sposób. Cały horyzont od mławskich piasków do zenitu napełnia jakiś sinawy zmrok, przy którym widać na drugim pagórku tłum ludzi przemienionych w kamienie. Na południowym horyzoncie, tuż przy ziemi, ciągnie się szeroki na łokieć pas światła barwy żółtawo-rudawej, przysypanej sadzą.

Ach! jak smutno, jak smutno... Dusza straciła swą indywidualność, jest tylko kroplą odbijającą jakieś nieokreślone uczucie całej natury. To nie ślepy gniew burzy, to nie groza gór przygniatających człowieka, to nie głód przepaści, która nas chce pochłonąć. To nie niepewność jaką budzi nieznana okolica podczas nocy. To jest raczej żal, powszechne stroskanie świata.

„Żal po czem?... Z jakiego powodu? Może ziemia myśli i oto teraz wyobraża sobie straszną epokę, kiedy gasnące słońce, to ukochane słońce, zamiast światła będzie rzucać tylko pomrokę?

„Było około 6-ej i stała się ciemność po wszystkiej ziemi, zaćmiło się słońce i zasłona kościelna rozdarła się wpół".

„A Jezus zawoławszy głosem wielkim: Ojcze! w ręce Twoje polecam ducha mojego, skonał".

„Tak, ale co na to mówi *Renan Straus?...*"

„Lecz jeżeli istotnie skonał?... W takim razie nie ma chyba zjawiska, któreby dokładniej odpowiadało podobnemu nieszczęściu, jak ten siny mrok i ogniste obłoki zasłonięte kirem.

„W rozmyślaniu widzenia nocnego, gdy przypada twardy sen na ludzi, zdjął mnie strach i lękanie. Duch szedł przed twarzą moją, tak, iż włosy powstały na ciele mojem. Stanął, a nie znałem twarzy jego, tylko jakiś kształt był przed oczyma memi. Uciszyłem się...".

„I czekałem, że lada chwilę usłyszę ciężkie westchnienie ziemi: „Boże, bądź miłościw nam grzesznym!".

Na tych słowach urywa się praca o lękach sytuacyjnych Prusa. Fragment tej pracy jest tak duży i tak pełen materjałów i oświetleń stanów lękowych Prusa, że redakcja „Rocznika Psychiatrycznego" uważała za swój obowiązek opublikować go, oddając zarazem hołd pamięci Stefana Borowieckiego.

ANNALES PSYCHIATRIQUES.

BULLETIN OFFICIEL DE LA SOCIÉTÉ POLONAISE DE PSYCHIATRIE

Rèsumè du Nr. XXXII.

Ce numéro est consacré à la mémoire de feu *Stefan Borowiecki*, professeur de psychiatrie et neurologie à l'Université de Poznań.

Il contient les discours prononcés en son honneur à la séance solennelle, convoquée par la Société Polonaise de Psychiatrie et de Neurologie, le compte-rendu de cette séance et de la séance de la faculté de mèdecine de l'Université de Poznań et une publication inachevée du feu professeur intitulée: „Les phobies des situations de Prus".

SPIS RZECZY ZAWARTYCH W XXXII ZESZYCIE.

RÉSUMÉS.

1. „Rocznik Psychiatryczny" wychodzi w nieregularnych odstępach czasu, w 3-ch zeszytach o łącznej objętości przynajmniej 30 arkuszy rocznie.

2. Każdy członek Pol. Tow. Psych. opłacając składkę członkowską i udział na wydawnictwo w sumie 24 zł. rocznie, otrzymuje „Rocznik Psychiatryczny".

3. Rękopisy pisane na maszynie, na jednej stronie arkusza, nadsyłać należy pod adresem redaktora, Warszawa, Matejki 6, m. 1. Prace są drukowane możliwie w kolejności ich złożenia w redakcji, jednak z dążnością do zachowania pewnej całości treści zeszytu. Prace, już drukowane w innych pismach, w „Roczniku" nie będą drukowane.

4. Autorowie winni dołączyć do swych prac streszczenie w języku francuskim; rozmiar streszczenia winien odpowiadać 1 stronie druku na 1 arkusz pracy oryginalnej.

5. Autorowie otrzymują po 25 odbitek swych prac na koszt wydawnictwa, większą liczbę odbitek mogą zamawiać za zwrotem kosztów.

6. Tablice i fotografie będą wykonane na koszt własny autorów.

MONOGRAFIE PSYCHIATRYCZNE

Nr 1. *Jan Mazurkiewicz* prof. U. J. P. Zarys fizjologicznej teorii uczuć; część I. 1930.

Nr 2. *Jan Mazurkiewicz* prof. U. J. P. Zarys fizjologicznej teorii uczuć; część II. 1930.

Nr 3. *Jan Nelken* płk lek. Kokainizm i homoseksualizm 1931.

Nr 4. *Jan Nelken* płk lek. Ostre upicie się i przestępczość 1931.

Nr 5. *E. Artwiński* doc. U. J. i *A. Gradziński* dr O leczeniu porażenia postępującego 1932.

Nr 6. *Stefan Borowiecki* prof. U. Pozn. Stosunek jednostki do otoczenia w nerwicach 1932.

Nr 7. *Witold Łuniewski* doc. U. J. P. Uczucia moralne i znaczenie samoistnego ich braku w patologii psychiki ludzkiej 1932.

Nr 8. *Stefan Borowiecki* prof. U. Pozn. Sen a całokształt życia psychicznego 1933.

Nr 9. *Jan Nelken* płk lek. Higiena psychiczna w wojsku 1934.

Nr 10. *Stefan Borowiecki* prof. U. Pozn. Klasyfikacja zaburzeń psychicznych reaktywnych i ich stosunek do t. zw. nerwic 1934.

Nr 11. *E. Artwiński* doc., *Wł. Medyński* dr i *St. Jankowski* dr. Nerwice reaktywne 1934.

Nr 12. *Z. Rozenblum.* Oligofrenia jako czynnik kryminologiczny w przestępczości nieletnich 1938.

Wyd. „Rocznika Psychiatrycznego",
Organu Pol. Tow. Psychiatrycznego

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Skład Główny: Dom Książki Polskiej, W-wa Pl. 3-ch Krzyży 8.

43 Drukarnia Ekonomiczna, Warszawa ul. Lipowa 7a. Tel. 34-8-34.